№ 8. Warszawa, dnia 24 (12) Lutego 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Książkę **Męczennicy myśli** wyślemy w tygodniu przyszłym. Nieprzewidziane przez nas przeszkody spowodowały kilkotygodniowe opóźnienie, którego usunąć nie mogliśmy.

Walka o byt.

V.

(Przystosowywanie się).

Niejednokrotnie zauważyć możemy ten fakt, że zwierzęta daleko prędzej i trafniej odgadują coś instynktem, niż ludzie — rozumem. Głupie ptaki zmieniają barwę swych piór, ażeby się zasłonić od prześladowań, podczas gdy rozumne społeczeństwa ludzkie nie chcą często zmienić jednego niedorzecznego przesądu, który naraża ich byt. Niewątpliwie, ptak strzeże tylko swojego bezpieczeństwa, a człowiek nadto swoich przekonań; ale odtrąciwszy nawet tę różnicę, pozostanie nam obszerna sfera celów czysto praktycznych, w których owo porównanie na korzyść naszą nie wypada. Metoda zgody z losem nie stawia zapewne ostatecznej mety usiłowaniom ludzkim a zastosowana bezwzględnie mogłaby osłabić ich energię i zniszczyć wszelki postęp; nie jest ona wszakże tak bezwarunkowo nierozsądną i zabójczą, jak głoszą ci, którzy często w swych apostolskich głowach mają mniej mózgu, niż instynktownie wiodący walkę o byt wróble. Bo o ile z jednej strony zaprzeczyć trudno, że osobniki i narody starają się i starać się powinny o zmianę warunków bytu w kierunku swych pragnień, o tyle z drugiej i to pewna, że pierwszą, bezpośrednią dla nich koniecznością jest zastosowanie życia do warunków istniejących. Pierwsze z tych zadań zalecić nam umie byle lichwiarz, wypożyczający na wysoki procent dźwięczne słowa; do drugiego — ledwie przekonać zdoła krwawe doświadczenie. Oporność ogółu na tej drodze nie wynika z jego słabych uzdolnień praktycznych, ale raczej jest dziełem przeróżnych kuglarzów, którzy pokazują sztuki społeczeństwu, wyciągając mu wstążki z nosa i wystrzeliwając potłuczone w moździerzu zegarki z pistoletów. Całkiem niezależnie od ludzi poważnych, uczciwych, głęboko nad przyszłością narodu zamyślonych, którzy odwracają kolej jego życia i kierują uwagę na cele dalsze, zamiast bliższe — niezależnie, mówimy, od tych ludzi, którzy mylą się lub mylić się mogą w dobrej wierze, istnieje u nas niepoliczona rzesza hypnotyzerów i magików, którzy spekulują na balamuceniu społeczeństwa. Wytworzyli oni osobne, nader zyskowne rzemiosło przelicytowywania nadziei i dystansowania wszystkich, którzy obiecują mniej, a raczej tyle, ile rzeczywistość dać może. Powiedźcie narodowi, że przy pewnym wysiłku posunie się o krok, oni wrzasną, że bez trudu zdolny skoczyć o milę. Ciągle mu wkładają te milowe buty, a on tymczasem stoi na miejscu. Mrówcza praca, ścisłe liczenie się z siłami i warunkami, mierzenie możliwości koniecznością, to — według nich — drobiazgi, abdykacya lub co jeszcze głupsze — „nieproszone narzucanie się z teoryjkami." Co oni mają dla osiągnięcia swych wielkich celów, jaką mocą wygrają wielki bój, jaką społeczeństwu dają rękojmię — z tego nie potrzebują się tłomaczyć. Dość, że tak mówią, a to mówienie opłaca się. Jest to gra, która zawodzi ogół w skutkach dalekich, ale nie zawodzi jednostki w bliskich. Ci gracze, co to nie „narzucają się," ale są naturalnymi przedstawicielami i przewodnikami narodu, trzymają w rękach tylko kozerne karty, z których najmizerniejsza młódka bije innej barwy tuza. Najwięcej też mają *lew*... prenumeracyjnych dzięki odwiecznej słabości ludzkiej, która zawsze wolała słuchać fantastycznych bajek, niż suchej prawdy... Chociażby jednak koło owego zielonego stolika „nienarzucających się" patryotów było jak najliczniejsze, nic to nam nie przeszkadza, owszem pobudza do tem silniejszego zalecania sposobów w walce o byt najskuteczniejszych. Otóż pierwszorzędną regułą winno być przystosowywanie swych działań i założeń do koniecznych warunków życia o tyle, o ile z niego społeczeństwo może wyciągnąć dla siebie jakąkolwiek, bodaj najdrobniejszą, korzyść i wzmocnić podstawę swego bytu. Wnioskiem tym nastręczylibyśmy wdzięczną sposobność rozmaitym „dośpiewywaczom" naszych myśli na temat zgody z losem, gdybyśmy, ubezpieczając się przeciw tym miłym gilom naszego dziennikarskiego gaju, nie zatkali ich gardziołków zbyteczną dla uczciwych czytelników uwagą, że punktu ciężkości szczęścia ogółu nie przenosimy po za jego łono a pismo nasze nie jest retortą do wytwarzania sztucznych związków przeciwnych zasadzie naturalnego powinowactwa. Chcemy bowiem utrzymać pierwiastek swojski w czystości i nie zanieczyszczać go zarówno obcą przymieszką, jak i miejscowym brudem. W tych granicach pragnęlibyśmy, ażeby społeczeństwo polskie, w każdym ze swoich odłamów odpowiednio, przyjęło za podstawę swych najbliższych celów i działań szereg niezależnych od niego konieczności i w nich prowadziło walkę o byt, zamiast tracić głowę na przedstawieniach politycznych magików i spirytystów.

Tyle o dopasowywaniu się w stosunkach wewnętrznych.

Ale jak ziemia obraca się nie tylko około swej osi, lecz także około słońca, podobnie i społeczeństwo musi odbywać oba te

ruchy: około własnej narodowej osi i około wspólnego wszystkim ogniska cywilizacyi. Na nieszczęście my niemal wyłącznie poprzestajemy na pierwszym. Nie rozpływamy się w oceanie ludów, ale za to wybijamy się ciągle z rytmu oświeconych. Jakaś dziwna parafiańszczyzna zbudowała między nami a Europą mur, w wielu miejscach już znacznie wyszczerbiony, ale ciągle jeszcze odgradzający nas od biernego nawet uczestnictwa w rozwoju powszechnym. Stary pisarz powiedział: „Dzisiejsza ludzkość zrzuca już ostatnią szatę zapleśniałej przeszłości, a wy polacy stroicie się w tę szatę zapleśniałą, którą Polska dzieciom swoim zakazała wtenczas jeszcze, kiedy ją cała nosiła Europa“ (Heltman). Ci „wy“ — to jesteśmy i my. Od chwili, kiedy padł ów wyrzut, wiele strzępów z tej „szaty“ zrzuciliśmy, pozostało z niej wszakże tyle, że nie przestaliśmy wyglądać z wielu stron jako cywilizacyjny anachronizm. Pomijając mniej ważne, zaznaczymy dwie: umysłową i społeczną. Sama walka o byt wymaga od nas: 1) większego zdemokratyzowania się i 2) większego udziału w postępie wiedzy. O pierwszem mówiliśmy, co do drugiego zastrzedz winniśmy, że ów udział nie jest tylko potrzebą teoretyczną. W słowach Humboldta: „wiedza — to potęga“ kryje się olbrzymia prawda. Nauka — to nie samo zadowolenie ciekawości i przenikanie tajemnic, lecz także siła, siła życiowa, która w walce o byt decyduje bardziej stanowczo, niż każdy inny oręż. Wylatające co chwila z rumowisk tradycyi i szybujące w mroku nietoperze i puszczyki, przerażone każdym promieniem światła, ani odgadują, jak gubią społeczeństwo, odstraszając je od wyjścia z tej umysłowej nocy, która im wydaje się tak rozkoszną i zbawienną. Narody, ograniczone w wyborze środków zachowania swego bytu, skazane są przedewszystkiem na ratowanie go oświatą i rozwojem uzdolnień duchowych. Jeżeli tę broń wypuszczą z ręki, doprawdy niewiele brak, ażeby całkiem pozostały obezwładnione. Wszystkie też nasze wycieczki przeciwko tryumfom geniuszu zachodniego, wszystkie koczkodanowe drwiny, wszystkie fanfaronady prawomyślności są nietylko urąganiem mizernem, ale nadto samobójczem. Postęp wiedzy, postęp nieokajdaniony żadnymi zabobonami stworzył wielkość narodów, dał im potęgę i szczęście, a my sądzimy, że to samo osiągniemy przez ruchy wsteczne! Jeżeli zaś doświadczenie wskaże nam omyłkę, czy świat w swym pochodzie na nas zaczeka, albo my go łatwo dopędzimy? Bynajmniej. On, nie oglądając się na nas, pójdzie dalej, a my zostaniemy bezsilni, nierozumiejący go, niezdolni z nim współzawodniczyć. Tu niema wyboru, tu pozostaje tylko jedna droga: przyłączyć się do ogólnej cywilizacyi, przystosować się do niej, nadać życiu te same sprężyny, tenże sam rytm, według którego rozwijają się inne narody. W przeciwnym razie one nigdy nie uznają ani naszych praw, ani naszych potrzeb, lecz ustawicznie będą w nas widziały jakiś starożytny zabytek, który pojąć można tylko przy pomocy słownika archeologicznego.

Na tem kończymy uwagi nasze w przedmiocie walki o byt. Wielu jej stron nie mogliśmy dotknąć, wiele oświetlimy przy nasuwających się z biegiem życia zagadnieniach szczegółowych.

LITTRÉ I POZYTYWIZM.

Paryż, 15 lutego.

Pisząc w zeszłym roku o przejawach materyalizmu we Francyi, wyraziłem zdanie, że różnica między materyalistami i pozytywistami należy do filozoficznych subtelności, których zwykły śmiertelnik uchwycić nie może. Myślałem wtedy jedynie o Littrém i jego wielbicielach. Zdawało mi się, że można na słowo zawierzyć Millowi, jak również francuskiemu „uczniowi“ Comte'a i powszechnemu przekonaniu, iż ojciec pozytywizmu ostatnie swoje prace pisał w stanie zupełnego pomięszania zmysłów. Przed kilkoma miesiącami szczęśliwe okoliczności pozwoliły mi poznać Piotra Lafitta i dra Robineta i wejść do wnętrza kościoła czcicieli ludzkości (*societé positiviste* i *cercle des prolétaires positivistes*). Tam dopiero zobaczyłem całokształt budowy Comte'a. Wspaniałość ogólnej myśli olśniewa mnie tak dalece, że dziś nie zdołałbym jeszcze krytycznie spojrzeć na części pojedyncze. Przedewszystkiem zastrzedz muszę, że pozytywizm Comte'a a Littrego — to dwie rzeczy nietylko różne, ale nie współmierne nawet. Pomysł Comte'a, wadliwy czy doskonały, ale w każdym razie genialny, jest w podstawie swojej i celu teoryą społeczną. Jemu chodzi jedynie o szczęście ludzkości, on chce zwaśnione dziś żywioły spoić jednemi przekonaniami, jednemi uczuciami i wspólną czcią dla zbiorowej istoty, której winniśmy wszystko — dla *ludzkości*. W tym celu tworzy *religię*, nie wahając się użyć tego słowa, pomimo iż ono w bezbożnych wzbudzi odrazę, a w wierzących — nienawiść.

Dogmatem w nowym kościele jest nauka; zamiast objawienia daje prawdy dowiedzione, w które wierzyć będą wszyscy, jak dziś wierzą w to, że suma kątów w trójkącie równa się dwóm prostym. Kapłanami są uczeni. Kult ma na celu rozwój uczuć altruistycznych.

Być może, że rzeczywistość piękne pomysły Comte'a zdegraduje do rzędu utopij. W każdym razie jest to pierwsza próba stworzenia teoryi filozoficznej, któraby podkładała jednolitą podstawę z twardego granitu ścisłej nauki pod wszystkie rodzaje działalności ludzkiej, któraby nietylko wykrywała prawdę, ale pochodnią sformułowanych praw wskazywała drogę do jej wcielenia, jednocząc harmonijnie potrzeby umysłowe z przejawami moralnymi i z życiowo - praktycznymi warunkami bytu. Każda wielka myśl miała różne fazy rozwoju; śmiały umysł, co pójdzie kiedyś w ślady Comte'a, będzie miał z niego potężne słońce za przewodnika i znacznie potrafi się zbliżyć do celu.

Z powodu ogólnie przyjętej wiary w chorobliwość pomysłów założyciela *religii*

Szkice wiejskie.

IGNAC.

Oj! szczęśliwe to dziecko, co ma ojca i matkę, to tak, jakby miało sukmanek ciepły i co jeść. I życie Ignaca było wesołe, szczęśliwe. Nie robił nic. Objedzony wygrzewał się tylko na słońcu i pod piecem. Ale umarł ojciec i dla Ignaca zaczęły się sieroce dni. Matka poszukała służby, ale dwojga dzieci trzymać jej nie pozwolono. Zostawiła sobie młodsze. Ignaca zaprowadziła do rodzinnej wioski, do dziadka.

Chłopiec wcale się tem nie martwi, bo dziadek mu zawsze bułkę przynosił.

— Będzie mi tak — mówi sobie — jak u tatulków.

Martwi się tylko matka. Dziadek ożenił się po raz drugi i wziął „takigo Samsoma“ — jak mówi Klepczeńska.

— Żeby ta babka nie była macochą dla mojego chłopca — martwi się dalej. Dam 15 rs. z zasług za życie, aby tylko go przyjęła.

— Chłopak taki cichy, co mu ma „zakucać.“ Ignac, będziesz babki słuchał?

— Będę! — odpowiada malec.

I oboje pełni dobrych chęci i nadziei stanęli u dziadków. Babki nie zastali. Ignacowi izba się ogromnie podobała.

— Większa od naszej, myśli sobie, a co tu obrazów! jaka szafa!

W szafie malowane talerze, jak żyje takich nie widział; jadał zawsze na polewanej miseczce, a to takie bialutkie! Dojrzał burego kota, pociągnął go parę razy za ogon; dojrzał i małą Julkę w kolebce; pomyślał, że akurat taki mały dziewczak, jak u matki. Obejrzał wszystko i stanął przy dziadku; był zupełnie kontent z nowych osiedlin. Nie płakał wcale, kiedy się żegnał z matką. Z dobrą miną zasnął i nie doczekał się babki. Ale przebudzenie było o wiele smutniejsze! Ludwiczka wymyślała najpierw męża, że bez jej wiedzy cudzego bębna przyjął. Pieniądze ułagodziły ją trochę, ale zawsze krzywo na śpiącego patrzyła.

— Potrzeba mi — mówi — cudzygo naroda żywić! Czy to on za te marne 15 rs. zje! Niechże mi przynajmniej dziewczaka zabawi, izbę poprzątnie.

I zbudziła Ignaca przed świtem. Biedak nigdy tak rano nie wstawał. Tarł oczy pięściami i płakał. Były to pierwsze łzy sieroce. Nie miały osychać nigdy. Babka macocha nie żartowała. Ignac wysługiwał się od rana do wieczora: nosił wodę, piasek, gałęzie, skrobał kartofle, dźwigał małą Julkę. A ile pięści odbierał codziennie! Budził się pod niemi.

— Jaka ta babka niedobra — mówił — żeby jej lepiej nie było!

Z oczów jej zawsze poznał, co go spotka! Nauczył się uciekać z izby wedle tego, czego się od babki spodziewał. Niedługo zaczął sypiać w chlewku. Ile razy spodziewał się pięści, szedł na obórkę.

— To sielmoskie nasienie — mówią we wsi baby — zameczy dzieciaka.

— Rozum to tu, moja kumo, zostawiać dzieciaka takiemu zbójcy, to prawy Samsom!

I baby prawdę mówiły. Nawet porównanie Ludwiczkowej z Samsonem miało swoją racyę. Ludwiczkowa była bardzo silna. Siły tej używała w dwojaki sposób: pracując i bijąc. Ile to tam spadło uderzeń na zgarbione plecy Ludwiczaka! Nie próbował się nawet bronić, taka była silna! Stare to plecy były jednak wytrzymałe.

A biedaego Ignaca? Miał dopiero lat pięć. Nie poznałby go też nikt, tak się zmienił. Schudł, pobladł, tylko buziak opuchł mu od płaczu i zimna, a w tej twarzyczce świeciła para takich smutnych oczów! Latem zaczął sypiać w ogródku Klepczeńskich. Ale też częściej bywał głodny. Dziadek chodził z kosą, obiadu w domu nie jadał, nie miał kto Ignaca zawołać, a babki bał się, choć wołała — nie poszedł.

ludzkości, muszę dla pewnego osłonięcia słów moich przytoczyć ustęp z pracy powszechnie szanowanego Lewesa, protestujący przeciwko oskarżeniu mistrza o waryactwo w ostatnich latach życia. „Czytelnikom dziel jego nie mam potrzeby mówić, że to pomieszanie zmysłów w r. 1826, więc przed napisaniem *Cours de philosophie positive*, cenionego przez wszystkich, było jedynie chwilowym rozstrojem mózgowym; gdyż bez względu na to, jakiemu odparciu mogą ulegać jego zdania i chociażby one wydały się najbardziej fałszywemi i niedorzecznemi, nie ma w nich najmniejszego śladu dziwactwa i majaczeń, które upoważniałyby do zaliczania ich na karb obłędu.“

Littr'ianizm, przeciwnie, jest teoryą czysto naukową. Z pozytywizmem ma tylko ten związek, że w całości swojej przyjmuje też same przeważnie podstawy, na których Comte chciał oprzeć religię. Mała ta cząstka, oderwana od ogółu, traci niemal wszystkie cechy pochodzenia i mogłaby się śmiało bez wielkiej szkody dla nauki zlać z materyalizmem. Comte zarzucał kiedyś temu ostatniemu, że w wyższych działach wiedzy posługuje się metodą właściwą niższym. Dziś siła zarzutu tego znacznie osłabła. wobec ogólnie wyświetlonej teoryi metod i stosunku nauk. Dalej pozytywizm w kwestyi istnienia Boga nie chce wydawać sądów żadnych. materyaliści zaś oświadczają się za ateizmem stanowczo. Taka jednak bezstronność i obojętność wobec zagadki, która przepala setki mózgów współczesnych, jest możebną w religii przyszłości, gdzie zostaje wykluczona rozumowo z rzędu pojęć ogólnie przyjętych; ale ani w krytykach naukowych, ani w stosunku do tysiąca poruszanych obecnie pytań, ani nareszcie w życiu prywatnem zaieczulić się tak niepodobna. Przytem samo nieuznawanie istnienia za pewnik, wyłączanie Boga, jako siły przy badaniu zjawisk, już jest w $^9/_{10}$ częściach ateizmem.

Trzecią nareszcie kardynalną różnicą są pojęcia o życiu; zdaje mi się jednak, że gdyby użyć dokładnego logicznego mikroskopu, to różnica ta sprowadziłaby się do odmiennej jedynie nomenklatury. Materyaliści nie uznają jeszcze klasyfikacyi nauk, ale to więcej w teoryi, bo w ich pracach widoczne jej podporządkowywanie, zupełnie podobne jak u Comte'a.

Pomimo istotnej tożsamości, pseudo-pozytywizm Littrégo zajmuje dziś we Francyi odrębniejsze stanowisko, niż materyalistyczna siostrzyca i posiada własną historyę. Korzystam z niedawno wydanego dzieła prof. E. Caro, pod tytułem *M. Littré et le positivisme*, aby dać o tem czytelnikom ogólne, pobieżne chociaż pojęcie.

Ze znanych czytelnikom *Prawdy* szczegółów biograficznych przypomnimy ważniejsze.

Emil Littré, zmuszony pracować na chleb, porzucił ławy szkolne przed otrzymaniem stopnia naukowego i wziął się do literatury. Od r. 1832 zaczynają wychodzić prace jego poświęcone medycynie; wkrótce wstępuje do redakcyi gazety *National*. Wówczas słychać było w powietrzu ostatnie echa przebrzmiewającej epoki, słowa wielkich myślicieli XVIII wieku. Oficyalnie rozpierał się eklektyzm we wszystkich zakątkach Francyi z Cousinem na czele. W głowie młodego medyka rodziło się tysiące piekących zapytań, na które mu nikt odpowiedzieć nie mógł. Myślał nawet podobno o samobójstwie. Matka, niezwykła ze wszech miar kobieta, znalazła sposób uczynienia mu życia droższem... ożeniła go. Pani Littré była i jest kobietą zacną, ale bigoterya włada niepodzielnie jej umysłem i sercem. Czy mąż starał się ją z tej drogi sprowadzić, nie wiadomo, ale do końca odznaczał się niezmierną delikatnością i szacunkiem dla wierzeń żony. Narodziła się córeczka. Littré wychowywał ją starannie i doczekał się inteligentnej pomocnicy w pracy; ale co do pojęć religijnych, to pozostawił ją zupełnie pieczy matki. Kiedy dorosła, zbierał się z dnia na dzień w ogniu pojęć naukowych spalić religijne przesądy, ale obawiał się zranić żony i w końcu myśli tej zaniechał zupełnie.

Życie rodzinne dało mu pewne zadowolenia, ale wątpliwości nie rozproszyło; dokonał tego inny fakt, najważniejszy w życiu jego. W 1840 roku poznał się z dziełami Comte'a, a wkrótce i z samym ich autorem. Teraz wszelka niepewność prysnęła, pod jasnem światłem naukowej filozofii rozwiała się niby mgła. Nieprzeczuwany przez niego dotąd punkt widzenia otworzył mu widnokręgi, w których nie czuł się już nieszczęśliwym.

Caro przyznaje, że Littré, jako filozof. stał niżej od Comte'a. Umysł jego nie posiadał twórczości, a roboty mają przeważnie charakter literacki, okolicznościowy. Comte radził mu przerobić dzieło F. I. Galla i Bossueta, przystosować do ogółu filozofii pozytywnej, jednakże Littré nie okazał się zdolnym do cokolwiek samodzielnej pracy i pomysł ten nigdy nie doszedł do skutku *). Natomiast wyszło dużo artykułów popularyzujących myśli mistrza.

Wkrótce wszakże między mistrzem i uczniem zaczęła się wyradzać naprzód różność zdań, potem niechęć a nawet nieprzyjaźń. Prawowierni mówią, że Comte usunął przeniewierzającego się wyznawcę, dostrzegając w nim złe popędy i sprzymierzanie się z „niegodną“ żoną (Comte'a). Sam mistrz w testamencie ostrym bardzo słowem potępił opozycyę Littrégo**). Przyjaciele znowu ucznia, a za nimi Caro, widzą w tem tylko rosnącą wciąż różnicę mniemań, dosyć, że ostatnie prace, a szczególniej *La synthèse subjective* (której, nawiasem mówiąc, Littré, nieznający matematyki, dobrze zrozumieć nie mógł) nie znalazły w nim nietylko wielbiciela, ale przeciwnie, ostrego, zanadto ostrego krytyka.

Comte umarł w roku 1857. Littré wydał w 1863 dziełó: *August Comte et la philosophie positive*, służące zarazem jako wyznanie jego wiary, dopełnione następnie w *Conservation, révolution et positivisme* (1878). W notatach do tego ostatniego dziełka autor prostuje dawne błędy i głównie zwala je na wpływ mistrza. Podsumowawszy wszystko, widzimy, że Littré przestraszony utopijnością pomysłów *Synthèse subjective*, wyrzekł się wszelkiego budowania planów rozwoju ludzkości; poprzestał jedynie na szerzeniu pojęć naukowych. Potem, a może wskutek tego, przyjmuje pierwszą tylko część teoryi, t.j. *Cours de philosophie positive*, zaś *Système de politique positive* odrzuca zupełnie. Ale i w przyjętej części liczne znajduje braki. Nie zgadza się z teoryą ekonomii politycznej i jej upośledzeniem. Kraniologię, wywnioskowaną z hypotezy Galla, uważa za fałszywą i nareszcie widzi brak estetyki i moralności ***).

---

*) Ostatni ten szczegół biorę z *La morale positive* Laffite'a, Havre 1881, str. 53,

**) Tamże str. 81.

***) Wszystkie te niedostatki widział sam Comte, dla tego też radził Littremu zająć się teoryą psycholo-

---

Matkę widział tylko raz; skarżył się, że mu bardzo niedobrze. Rozpłakali się oboje, rozpłakali się nawet we troje, bo i dziadek płakał, ale gdzie Ignaca oddać?

— Nie mam żywej duszy życzliwej na całym świecie — skarżyła się wdowa.

Ignac został u dziadków. Posmutniał. Godzinami wpatrywał się w jeden punkt bezmyślnie. Czy tylko bezmyślnie? Chyba nie! Czasem drżały mu usta, jakby mówił do siebie, czasem łzy płynęły jedna za drugą. Myślał może o matce, o swojej biedzie. Niedługo był znany w całej wsi i budził litość. Klepczeńska, ile razy go w ogródku dojrzała, wyniosła kawałek chleba. Ale czy chłop może pamiętać o cudzym sierocie! Każdy z nich ma swoich kilkoro, a pracy od rana do nocy, zwłaszcza latem. Pamiętali o Ignacu, gdy go widzieli, a on nie poszedł prosić o chleb.

Raz tylko, kiedy dworska panienka niosła ojcu podwieczorek, wybiegł za nią na drogę i wołał żałośnie:

— Proszę pani, mnie się chce jeść!

Ale panna pewno nie dosłyszała. Byłaby przecież przystanęła, obejrzała się, a ona poszła dalej z garnuszkami. Ignac głośno zapłakał, od rana nie jadł.

Kiedyś spotkał go dworski służący i dał kawałek chleba. O jakże mu smakował! Taki biały był. Wyglądał Ignac potem Staśka. To był także sierota, ale jego sieroctwo nie długo trwało: wzięli go do dworu, okryli, przygarnęli. Mówi o nim Janek:

— Kiedy dawniej nałożuł na łeb štyry prawdy (czapka rogata) i parciane spodnie, to kuzden pies warknął na niego, a tera to taki wystrojony „loktaj,“ ze tylo capkę przed nim zdyjmaj!

Nie zapominał jednak chłopak swojej niedoli, bo ile razy Ignaca spotkał, zawsze mu coś dał zjeść i spytał, czy go babka bije.

Nagle zaszła jakaś odmiana w dziecku: poweselał; widać coś się tam w tej małej główinie snuć musiało, bo czasem się uśmiechał sam do siebie. Kiedyś kreślił nawet dziwołągi na piasku bosą nogą. A to była jego ulubiona zabawa. Za życia ojca po całych dniach biegał po trakcie i rysował nogą. Czasem udało mu się wyrysować coś tak „sztucznie,“ że dzieciaki inne ze zdziwieniem i zazdrością patrzyły na tę małą nożynę, jak się zwijała po piasku i kreśliła takie różności. Klepczeńska zdziwiła się:

— Czy cię babka nie bije?

— Bije odpowiedział Ignac — ale się przytem uśmiechnął.

Raz spotkał na drodze dziedzica. Pan dzieci lubił, przystanął, gdy malec powiedział cicho:

— Proszę pana, Stasiek mi dał chleba!

Z oczów jednak widać było, że chce jeszcze coś mówić, a nie śmie. Pan naturalnie nie miał czasu na domyślanie się, opowiadał jednak w domu, jak go Ignac zaczepił; dowiadywał się przytem, czy Stasiek swój własny chleb oddał dziecku. Ignac coraz częściej czeka przy mostku, którędy pan chodzi w pole. Widocznie uśmiech i nadzieje łączy z dworem, tylko odważyć się nie może. Odważył się jednak, pocałował kiedyś pana w kolano i zawołał:

— Proszę pana, ja pójdę do dworu świnie paść!

Więc to ta słodka nadzieja tak zmieniła biedne dziecko i sił mu dodała!

Pan się uśmiechnął, pogłaskał głowę Ignaca, powiedział, że dobrze, że jeszcze za mały, weźmie go dopiero za rok. Ignac posmutniał, z odpowiedzi zrozumiał tylko, że musi czekać. A czekać, to znaczyło być: bitym, głodnym i zmarzniętym w zimie; to znaczyło: pracować nad siły i — płakać. Pytał dzieci, ile to dni — rok? Pytał starszych, ale nie mógł ogarnąć myślą i uprzytomnić sobie, ile czasu potrzeba na rok, domyślał się tylko, że rok, to jeszcze tyle, tyle dni! Mówiła mu Klepczeńska:

— Będzie jeszcze kopanie, i siew, i pielenie, i znów żniwo i dopiero będzie rok.

— To okropnie długi ten rok — mówił sobie chłopak.

Czekał jednak i myślał, jak on to za świnmi będzie się uganiał. Myślał wtedy, że dobrzeby i śpiewać jak źrebarczyk, ale

Wogóle poglądy Littrégo budującą stałością się nie odznaczały. Od r. 1868 wydawał z przyjacielem Robinetem i Wyrubowem dwumiesięcznik *La philosophie positive* i w ciągu drukowanych artykułów poprawiał się nieustannie, cofał i znów wracał. Pomimo jednak rozbratu, nie ustaje on ani na chwilę w powoływaniu Comte'a na świadectwo. Za główne zasługi poczytuje mu klasyfikacyę nauk, ufundowanie, nawet stworzenie socyologii i nadanie filozoficznej jedności wszystkim częściom wiedzy, która broni od niekonsekwencyi, tej „największej rany umysłów współczesnych."

Dzięki własnym literackim zdolnościom i wartości teoryi Comte'a (pomimo licznych amputacyj), Littré zaczął być uważany przez świat cały za głównego przedstawiciela pozytywizmu.

Gambetta powierzył mu w roku 1870 katedrę w Bordeaux, chcąc tem wyrazić uznanie swoje dla teoryi.

W r. 1872 ukończone zostało wydawnictwo kapitalnego *Dictionnaire de langue française*, owoc ośmnastoletniej mozolnej pracy.

Wskutek dwóch tych okoliczności zaczęły się nań sypać zaszczyty ze wszech stron: został członkiem różnych akademij i towarzystw, dostał legię honorową, powołano go na dożywotniego senatora i t. d.

Mozolna praca nadwątliła zawsze dosyć słabe zdrowie i w r. 1881 śmierć przecięła żywot filozofa. Pismo i sprawy szkoły prowadzi dalej Wyrubow i inni.

Littré niezmiernie dużo lubił pisać o sobie. Opierając się głównie na osobistych wyznaniach, Caro, pomimo wstrętu dla przekonań, wielbi moralną stronę przeciwnika.

Chlubne to świadectwo; a jednak na Littrém pozostaje plama dotąd niestarta. Comte usunął zupełnie zbuntowanego ucznia od udziału w wykonaniu swego testamentu; Littré jednak, sprzymierzywszy się z żoną nieboszczyka, chciał popalić pozostałe rękopisy. Dopiero długi proces wyrwał mu je z rąk i zwrócił Laffitowi. Nie potrzebuję dodawać, co to byłaby za strata.

Prof. Caro jest dyrektorem sumień damskich wielkiego świata i godnym następcą sofistyki Cousina. Jako taki chwaląc Littrégo, stara się zgruchotać pozytywizm. Nie mogąc zaprzeczyć słuszności twierdzeniom, pienia się o ich rodzicielstwo, stara się skrzywdzić Comte'a, nie bacząc, że pomimo nawet zręczności adwokackiej pozostaje tyle, iż eklektyzm i jego wszyscy wyznawcy nikną zupełnie przy porównaniu.

Cousin miał podobno 14 dowodów istnienia Boga. Ile ma dowodów na zawełanie Caro, nie wiadomo, bo się wszystko zaciera razem w barwnej stylowej mgławicy; ale bezbożność pozytywizmu spędza mu sen z powiek.

Cały pozytywizm sprowadza się u niego jedynie do przeczenia! Głównie trwoży pana profesora myśl, że pozytywizm odbierze ludzkości wiarę w cnotę, w ideał, poświęcenie, zatrze wszystkie wzniosłe, szlachetne, duchowe pierwiastki.

Korzystając z reklamowanej pracy angielskiego pisarza Mallocka: *Czy warto żyć?* wykazuje, że życie bez wiary w religię objawioną traci wartość.

Bo i co warte istnienie, sprowadzone do biologicznych objawów?

Żeby na to odpowiedzieć, trzeba by było się naprzód wyćwiczyć w Cousinowskiej szkole. Na co tu logiczne wykręty, kiedy jest fakt, że kochamy życie i nie chcemy umierać, jakiekolwiek są nasze filozoficzne przekonania. Więc powód tego tkwi w czem innem.

Ale to już taka sofistyczna maniera. Nie bierze rzeczy wprost, nie dowodzi, że te lub inne wierzenia są prawdą, ale zachodzi z boku i mówi: może to i wymysł, ale trzeba przyjąć, bo inaczej źle. Jak gdyby umysł ludzki mógł przyjmować poglądy, dla usunięcia cudzych obaw! Słaba to broń!

K. T.

---

gii biologicznej i powstawiał w późniejszych pracach nowe działy. Etyki śmierć mu nie pozwoliła napisać, dokonał tego Laffite w części.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

WŁODZIMIERZ BARWIŃSKI.

Lwów, 15 lutego.

Żałobą okryła się Ruś halicka...

Dnia 3 lutego b. r. pożegnał ją na zawsze jeden z najdzielniejszych jej synów, obrońca praw jej nieznużony, człowiek niepoślednich zdolności i niepokalanego charakteru.

Barwiński urodził się w r. 1850. Ukończywszy wydział prawny w uniwersytecie lwowskim, oddał się praktyce adwokackiej, którą jednak porzucił dla zawodu dziennikarskiego.

W r. 1868 widzimy go, młodego akademika, jako jednego z założycieli towarzystwa *Proświta* (Oświata) — grona ludzi, co zrozumieli, że praca u podstaw jest jedyną drogą, która zawieść ich zdoła do wytkniętego a upragnionego celu. I trudno zaprzeczyć, że założenie tego Towarzystwa wpłynęło niepospolicie na rozwój i wzrost sił społeczeństwa ruskiego w Galicyi. Był też Barwiński członkiem jego do samej śmierci i do ostatniej chwili jednym z najszczerszych jego pracowników. Napisał dla *Proświty* seryę książeczek popularnych, skreślonych językiem dla ludu przystępnym, jak np. *Weksel i łychwa—nasza bida*, *Trijciat lit twerezosty* i wiele innych.

Gdy był jeszcze na uniwersytecie, wychodziła we Lwowie *Prawda*, pismo literacko-naukowe, grupujące około siebie całą rzeszę młodych pracowników. Przyłączył się do nich i zmarły Włodzimierz, zasilając od czasu do czasu rozprawami treści ekonomicznej albo historycznej jedyny podówczas organ partyi ukrainofilów, którego wreszcie w r. 1876 został naczelnym redaktorem, gdy po pomieszczeniu w nim *Malowanej Hajdamaczczyzny* Kulisza, sprzeniewierzającej się sztandarowi ukraińców, ówczesny redaktor Longin Łukaszewicz ze stanowiska musiał był ustąpić. Pismo to prowadził Barwiński do r. 1880.

Ale marzeniem jego i życzeniem najgorętszem było założenie pisma politycznego z programem wybitnie narodowym. Jakoż staraniem dawnych towarzyszów, tych sa-

---

pewno śpiewać nie będzie umiał, a tak lubi słuchać, jak tamten wywodzi piosneczki o kiełbasie. Zrebarczyk czasem położy się w trawie i czyta. Tego również Ignac nie zrobi, bo czytać nie umie, ale za to nauczy się trzaskać z bicza i będzie za świńmi tak biegał, biegał, aż mu tchu zbraknie. A potem będzie ognisko palił i kartofle piekł. Dadzą mu jeść we dworze, nie będzie nigdy głodny. Potem jeszcze będzie grał z chłopcami w „łazy," wynalazł już pięć małych, równych kamyków, żeby mała ręka objąć je mogła. Oj będzież szczęśliwy!

Tymczasem nadeszła zima. Dziadek siedział w domu, Ignac częściej jadał, ale też i częściej bywał bity. Jednego wieczoru babka drewnem rozkrwawiła mu czoło: upuścił dziecko. Dziadek porwał się z ławy, ale dostał tym samym drewnem. Ignac nocował w chlewku. Cały dzień nie było go w izbie. Wieczorem dziadek go odszukał i przyprowadził.

Teraz lubił tylko w cieplejsze dni do lasu jeździć. Brał z sobą bicz i uczył się trzaskać.

— Żebym to jeszcze — mawiał — nauczył się tak „gardzil drzyć" jak Źrebarczyk!

I próbował. W lesie rozlegało się piskliwym głosikiem dziecka:

A ja księdzu woły pasę,
Obiecał mi ksiądz kiełbasę,
Obiecał mi ksiądz kiełbasę.

Tu jednak „darcie gardła" przechodziło w szept; kiełbasa pochłaniała całą uwagę, całą myśl dziecka. Zapominał kończyć i tylko myślał, że nieraz w zanadrzu, obok kartofli i chleba, znajdzie się pewno i kiełbasa. Ale nie zawsze było ciepło, nie zawsze Ignac mógł trzaskać z bicza i marzyć. Zima nastała ostra, śnieżna. Zsiniały od mrozu ciągnął saneczki z drzewem i już wtedy nie „darł gardła," gdzież zaś, ust nie mógł otworzyć! Powoli w oczach zagasał promyk radosnej nadziei. Batóg jednak chowa i ogląda go jak najczęściej, jedyna oznaka, że jeszcze czeka i spodziewa się.

Z wiosną pokazała się jakaś choroba we wsi, dzieci umierały gromadą. I Ignac położył się niedługo. Rozpalony w gorączce majaczył, że je we dworze taki smaczny chleb, że pasie świnie, że mu ciepło i dobrze. Wołał matkę i skarżył się, że go głowa boli, że go babka bije.

— Będzie zdrów — tłomaczyła mężowi Ludwiczkowa, tylko niech się wygrzeje w pościeli. Zdaje się jednak, że sama temu nie wierzyła, bo zgotowała chłopcu herbaty i zjakąś obawą patrzyła na niego. Wieczorem radziła się sąsiadek.

— Oberwał się dzieciak, mówi z oburzeniem Klepczeńska — dźwiga codzień drzewo, dziewczynę; nic innego, tylko się oberwał. Utrzyjcie kamienia i dajcie mu napić się „tłusto."

I „tłusto" jednak nie pomogło. Wszystko się rychlej skończyło, niż nawet Ludwiczkowa myślała: siódmego dnia Ignac umarł, ściskając bat w pięści.

We dworze o chorobie Ignaca dowiedzieli się już po jego śmierci. Tyle dzieci wiejskich umiera corocznie!

Nie zdziwiono się.

Trumienkę zaniósł dziadek pod pachą do kościoła. Nad grobem płakała matka.

I po Ignaca śmierci został tylko — batóg ulubiony.

DZIEŃ ZADUSZNY.

Dzień zaduszny w r. 1878 w parafii X. zapowiadał się odmiennie i burzliwie. Baby gotują się do wojny z księdzem.

— Słychana to rzecz — prawi Józwowa — żebym ja była niewolnicą i nie mogła własnego placka rozdzielić między „ubóstwo."

W tej protestacyi Józwowej mieści się cały powód, który może sprowadzić groźne wystąpienie bab, proszę zważyć: bab z całej parafii.

Ksiądz zapowiedział z ambony, żeby chleb, placki, itd. itd. różnego gatunku i formy przynoszone były w całości, a nie w kawałkach, jak zwykle i wszędzie, ustawione pod chór; on sam rozda, bo najlepiej wie, ile i komu potrzeba.

mych niemal, co z nim razem zakładali *Proświtę* — dnia 1 stycznia 1880 roku pojawiło się *Diło*, pierwszy większych rozmiarów organ ruski polityczny, w kierunku ściśle narodowym redagowany. Program jego streścić można w następujących punktach:

1. Rusini haliccy są nieodłączną częścią 17-milionowego narodu ruskiego, tak pod względem języka, jak też i wszelkich etnograficznych właściwości.

2. *Diło* żąda całkowitego równouprawnienia ludów, w skład monarchii austryackiej wchodzących, i usunięcia wszelkiej majoryzacyi.

Dla tego też popiera ono federalistyczną politykę hr. Taaffego i domaga się, aby program obecnego rządu wykonanym został w całej pełni także i w Galicyi a nie skończył się na obietnicach. W tym też duchu ułożoną została przez Barwińskiego rezolucya, przyjęta przez wiec ruski, który — jak czytelnikom *Prawdy* wiadomo— odbył się we Lwowie w r. 1880.

3. Nic też dziwnego, że konsekwentnie idąc, występował Barwiński (zbyt może czasem ostro) przeciwko szowinizmowi galicyjsko - polskich polityków, chcących z uszczerbkiem i oczywistą krzywdą narodu ruskiego zapewnić żywiołowi polskiemu w Galicyi stanowisko uprzywilejowane. Pomimo to jednak wyrażał on niejednokrotnie przyjaźń dla polaków, nawołując nawet inteligencyę polską, aby zamiast tracić bezużytecznie siły na polonizowanie rusinów, zwróciła się raczej do oświecenia mazurskiego ludu, pod ciemną jeszcze gwiazdą ciągle mieszkającego.

4. Jednym z najważniejszych punktów programu *Diła* było określenie stanowiska, jakie zajęło następnie i trzyma się go dotąd stronnictwo narodowe wobec partyi świętojurskiej: „*Pokinuty* — mówi *Diło* — *wsi formalni spory, ponehaty wzajimne dražnenie; a zamistj toho wziaty sia do realnoji i wytrewałoji praci dla dobra naroda, bo tilko taka pracia i piddwyhnenie naroda može nadaty nam sylu i wahu w kraju i w deržawi.*“ Stosownie do tego punktu programu, unikał zmarły wszelkiej polemiki z obozem świętojurskim i żywo występował przeciwko pewnym zachciankom obrzędowo-religijnym, mogącym wywołać w narodzie rozdwojenie a tem samem osłabić i bez tego wątłe jego siły.

O ile Barwiński czynił słusznie, chwytając się zasady pojednawczości — mieliśmy sposobność już parę razy wykazać. Zapatrywanie jego było, zdaniem naszem, poniekąd błędne. Wszak nie chodziło tu tylko o kwestye „formalne,“ jak mówi *Diło*, ale równocześnie o pytania zasadnicze, pod formą tamtych się ukrywające.

6. W całej pełni pozytywny program *Diła* zwrócił też uwagę i na ekonomiczne stosunki galicyjskie. Pismo Barwińskiego miało oczywiście zawsze na względzie dobrobyt włościan przedewszystkiem, mieszczan i rękodzielników, z których to klas społecznych składa się głównie ruskie społeczeństwo galicyjskie. O warstwy te—bez względu na to, czy one polskie, czy też ruskie — troszczyło się ze wszystkich galicyjskich organów zawsze najwięcej *Diło*, albowiem pisma polskie zbyt wiele mają do rozbioru spraw wielkopańskich, tak że mało już miejsca zostaje im na troskę o dobrobyt innych warstw narodu, chociaż podobno najliczniejszych...

Przedstawiwszy w ogólnych zarysach program *Diła*, zsumowaliśmy równocześnie i zasady, któremi rządził się zawsze jego zawcześnie zmarły twórca. Zawcześnie — powtarzamy — bo zaledwie dziesięć lat samodzielnie pracował na niwie narodowej. Ale lat tych dziesiątek starczy podobno za niejeden szampanem oblewany okres jubileuszowy.

Zrozumieli to wszyscy. Ciche zasługi i rzadkiej prawości charakter zmarłego uczczono w dniu pogrzebowym należycie. Na grób jego pospieszyli ludzie najromaitszych przekonań; widzieliśmy tam i najzawziętszych jego przeciwników... Kilkadziesiąt wieńców od najrozmaitszych towarzystw narodowych, kółek i redakcyj, zarówno pism ruskich, jak i polskich, najwymowniejszem były świadectwem szacunku, na który zmarły w 33 zaledwie roku życia swego dziennikarz w najszerszych kołach społeczeństwa zdołał sobie tak wcześnie zasłużyć.

Grudkę pośmiertnej sympatyi rzuciła na grób jego nawet *Gazeta narodowa*. „Ruskie dziennikarstwo — mówi ona — traci w nim niewątpliwie najzdolniejszego i najszlachetniejszego pracownika, polska zaś prasa żegna w zmarłym redaktorze *Diła* najsympatyczniejszego przeciwnika. Dla swej nieskazitelnej prawości charakteru i czystości uczuć byłby on ozdobą i chlubą każdego obozu politycznego. Więc chociaż za życia nieraz z nim ścieraliśmy się, to teraz, gdy śmierć na zawsze przerywa jego działalność, szczerem sercem oddajemy cześć pamięci szlachetnego przeciwnika.“

Gdy w ten sposób odzywa się przeciwnik, cóż powiedzieć ma ten, co nietylko otaczał zawsze zmarłego szacunkiem i życzliwością, ale bóle, targające duszę jego, zdołał tak odczuć, jakoby nie pobratymcem jeno, ale najbliższym mu był bratem?...

Łza szczerego żalu towarzyszy ci do grobu, zacny mężu... Cześć twojej pamięci!...

Nalewajko.

W. A. MACIEJOWSKI.

Śmierć Maciejowskiego była tylko załatwieniem przez naturę ostatniej formalności. Dla nauki, dla której żył, umarł on już od lat wielu. Wprawdzie do ostatniej chwili krzątał się, myślał o nowych wydawnictwach, ale było to raczej wynikiem nałogu i potrzeby usprawiedliwienia zapomogi rządowej, niż istotnej pracy umysłowej. Ostatnie dziełka Maciejowskiego noszą na sobie widoczne ślady zgrzybiałości. Pewna chaotyczność w wykładzie, właściwa mu zawsze, objawiła się przy końcu bezładem myśli, uniepozwalającym dociec ani ich biegu, ani związku. Taki np. zamęt panuje w *Historyi włościan*. Nie są od niego wolne — jak rzekliśmy — prace z najszczęśliwszej doby autora, a więc także i dwa główne tytuły jego zasługi: *Historya prawodawstw słowiańskich* i *Piśmiennictwo polskie*. Pierwsze jednak z tych dzieł posiada wysoką wartość historyczną, jako próba ogarnięcia ustaw całej Słowiańszczyzny. Od czasu jego wyjścia i metoda badania uległa głębokiej zmianie i materyał dziejowy narosł znacznie, tak że książka Maciejowskiego może być dziś używana tylko z wielką ostrożnością. Ale jest to w każdym razie magazyn bogaty, z którego wiele danych i wskazówek badacze dotąd czerpią. Autor był niezwykłym u nas objawem słowianofila, a chociaż ta jego szeroko rozpostarta miłość plemienna niezawsze przybierała pożądany kierunek, miała ona w sobie ten przynajmniej odcień dobry, że rozdmuchiwała ustawi-

---

Oburzenie było ogólne. Spodziewały się dwory, że baby placków nie popieką, ale popiekły. Oczekują więc jeszcze walki. Oburzenie „ubóstwa“ jest także ogólne. Dotąd każda gospodyni za każdą duszę zmarłą dawała serek, lub „pajdę“ chleba; jeżeli w rodzinie było 10 dusz zmarłych, dostawało się dziadowi 10 serów, lub pajd. Dawały i mięso.

— Teraz — płacze stary Karolek — może za 30 dusz nie dostanę nawet „serecka.“

Z ogromnym smutkiem i zupełnie zniechęcone wybierają się baby do kościoła. Ciemna Rózynka nie chciała wcale iść, ale ją namówili. Powiadają baby:

— Jak was nie będzie, to wszystko bez podziału pójdzie do plebanii.

Idą więc, ale z bardzo złem przeczuciem.

Najodważniejszą ze wszystkich okazuje się dotąd Józwowa. Upiekła, jak corocznie, 3 placki: 1 dla księdza, 2 dla ubóstwa. Mimo zakazu, pokrajała oba. Zdawałoby się, że odwaga jej zachęcająco podziała na inne. Nie. Jedna tylko Józwowa niesie z chłopakiem w koszu pokrajane „glenie,“ inne baby całe bochny mają pod pachą, w fartuchach, jak której wygodnie. Józwowej gęba się nie zamyka od samej wsi aż do kościoła. Ona bo znana z języka. Co się tu dziwić, że teraz gada; kiedy nawet idąc na mszę, sprowadzającą deszcz, lub pogodę, rozprawia nieustannie.

W prawdzie robi to z potrzeby, ale zawsze Młotczakowa jest zgorszona i mówi do kumy, że mogłaby Józwowa choć raz język utrzymać a kiedy nie śpiewa, to choć pacierz „zsychłać.“

Józwowa nie śpiewa — nie dla tego, żeby mniej jak inni w skuteczność takiego śpiewu wierzyła, ale że nie miała nigdy głosu. Nawet ją zwykle gromada prosi, żeby dała pokój, a że lubi gawędzić, więc najzupełniej nie czuje się pokrzywdzoną.

Dziś gada więcej, niż zwykle, bo jest zachwycona swoją odwagą.

— Już ja powiem księdzu, jak się tylko mi wtrąci — powtarza setny raz.

Potem rozmyślają kobiety, jak to dawniej ich matki piekły zaduszne placki.

— Moja Józewkowa — mówi kowalka— ani się podały nasze; tamto były płachy o całej blasze, a nasze—bocheneczki.

— Co to teraz za gospodynie! wtóruje wyrobnica Janowa i trochę ciszej kończy: widziałyśta, jak furmanka 5 bułeczek dwugroszowych przyniosła z miasta? Dopiero się wykosztowała! A czy to oni pięcioro zmarłych mają w rodzinie? „wykspi się“ dziesiątką i kontenta.

Kumy z oburzeniem potwierdzają; każda z nich niesie kosz mięsa, ciasta, może więc zgorszyć się takiem „skępstwem.“ Dwory nie posyłają nic — uwolniły się od wielu takich „drobnostek.“ Cały ich ciężar spada na chłopa. I rzeczywiście chłop z wszystkiego, co w gębę bierze, daje dużą część księdzu. Dziesięcinę daje, jajka kilka razy rocznie, pierwsze cielę, pierwsze prosię, kury na św. Mikołaj, ziarno na „kolendę,“ wszystko to niesie sam, albo przychodzą brać: osobno ksiądz, osobno organista, osobno dziad. Za każdą posługę chłop płaci, wprawdzie targują się także, ale podobno ze złym skutkiem. Składanie takie „drobnostek“ niektórych oburza. Nasze baby także były wyprowadzone z cierpliwości: nie składaniem jednak placków, ale niepotrzebnem według nich „wetknięciem księżego nosa.“ Rozdrażnili je jeszcze Kaniescy.

— Wysyłają starą matkę co rok po placki, a „mają się czego jąć.“ Pójdzie ciemna, albo stary Karolek, to tam jeszcze bajki, każdy wie, że nędzarze, ale taka Kanieska!

Kanieski na opinię wioski nie uważa i matkę corocznie wysyła. Nieraz mają zebranego mięsa i ciasta na trzy lub cztery tygodnie. Matka także z ochotą idzie. Przez cały ten czas dzieci są łagodne, wnuki babkę ogromnie kochają. Dzień zaduszny jest wesołym dla wszystkich tych, co są ciężarem w rodzinie. Kanieska zaręcza, że przez cały rok nie usłyszy tyle „dobrego słowa,“ co w dzień zaduszny. I dziś wnuki ją proszą, żeby chleba nie brała, tylko samo placki. Starowina obiecuje wszystko i uśmiecha się do wszystkich.

cznie w nas gasnącą iskierkę sympatyi dla pobratymców. Czy Maciejowski (z wyjątkiem pozyskanej od rządu stałej zapomogi na wydawnictwa) wychodził z platonicznej sfery swego słowianofilstwa i wkraczał na pole działań praktycznych — nie wiemy; zdaje nam się wszakże, że kult sercowy był u niego wytworem naukowego zamiłowania do przedmiotu.

Daleko niżej stoi druga jego większa praca *Piśmiennictwo polskie*, przepełniona sądami dziwacznymi i powierzchownymi. Estetykiem Maciejowski nie był, snucia się wątku pomysłów artystycznych ująć nie mógł, a niejedna gałąź na drzewie literatury była mu zupełnie obcą. Tak np. nigdy nie zapomnimy gruntownego rozbioru historyi języka polskiego w tem dziele z katedry w Szkole Głównej. Prof. P. wykazał, że Maciejowski popełnił szereg błędów i omyłek, zdradzających bardzo oddaloną znajomość przedmiotu.

W każdym razie był to umysł badawczy i niezmordowany. Trzeba znać trudy poszukiwań historycznych, ażeby ocenić ich rezultaty i usprawiedliwić zawody. Jeżeli na dziesięć chybień zdołamy raz wydobyć prawdę, zwycięstwo olbrzymie. Ponieważ zaś Maciejowski w swych badaniach prawniczych sięgał do epok najciemniejszych, nierozświeconych brzaskiem wiarogodnych świadectw, więc też nic dziwnego, że często nić Aryadny w tym labiryncie przędła mu wyobraźnia.

Zamykając dziś jego owocną i wieloletnią działalność nie należy zapomnieć o licznych rozprawach i krytycznem wydawaniu źródeł dziejowych. Szczegółowy wszakże rachunek z naukowych jego prac nie może być zadaniem krótkiego wspomnienia pośmiertnego, które jest tylko garścią ziemi w grób rzuconą.

G. B.

RYSZARD WAGNER.

Oto był człowiek, około którego kręciły się wiry najsprzeczniejszych mniemań. Podczas gdy jedni widzieli w nim półboga, Apollina, inni w obszernych broszurach dowodzili, że był... waryatem. Nigdy może prawda nie leżała bardziej pośrodku. Wagner należał do talentów wielkich, ale z jego „muzyki przyszłości" owa przyszłość wyrzuci więcej, niż się mistrz spodziewał i może właśnie to, co on jej głównie ofiarował. Ostatecznie muzyka pozostanie tak czy inaczej instrumentowaną, rozkładaną i łączoną melodyą, ale zawsze melodyą.

Tymczasem Wagner chciał z niej zrobić jakiś dramat tonów, chciał ją wyprowadzić po za jej naturę. To też, o ile był muzykiem przyszłości, sława jego biegła tylko na skrzydłach reklamy. Niedawno znany pisarz niemiecki Hagen wydał w Berlinie *Przyczynki do poznania istoty sztuki Wagnerowskiej*. Dość przeczytać kilka zdań tej apologii, żeby zawołać z dr. O. P. w *Tägliche Rundschau*: „Boże, broń mnie od... przyjaciół." Do jakiego stopnia dochodziło bałwochwalstwo wagnerzystów, przekona kilka próbek. *Pięćdziesiąt* stronic poświęca Hagen wykazaniu ważności jednego *a* w orkiestrze i tak mówi: „Ów ton *a* w pierwszym akcie uwertury do *Rienzi*, który gra trąbka, jest dla mnie wspaniałym przykładem, jak dobitnie w jednej nawet nucie wyrazić się może fizyognomia kompozytora.. Pierwsza nuta pierwszej ogłoszonej opery Wagnera, owo *a*, mówi nam: Wagner jest artystą organicznie twórczym. Zarazem posiada ono to piękne znaczenie, że ów sygnał trąbki jest pobudką do wolności. Ton ten mieści w sobie *in nuce* Wagnera z formy i treści. Powinien o tem pamiętać trębacz, który ma zadąć owo *a*: musi wiedzieć, co przezeń wydyma, musi być do głębi przejęty, że ów ton dotyczy wolności. Jeżeli zaś pojmuje go jedynie jako muzyk i ogranicza się na poprawnem według nut odegraniu — może sobie pójść precz!"

To nabożeństwo dla Wagnera — muzyka; niemniejsze dla Wagnera — poety.

W *Meistersingerach* na słowo Sachsa: „Młodzian, dziecię, nieuczone!" odpowiada Ewa: „Młodzian? Mój, rzecze — i został uwolniony?" Otóż Hagen powiada: „Jakże czarująco działa tu wyraz *mój*! Nie zapieram się, że on mi łzy wycisnął. Taka najwyższa, najnaturalniejsza piękność zmusza do płaczu nawet tych, którzy sądzą, że dawno już płakać zapomnieli."

Inny dowód „wielkości" z tejże opery: „*Ewa*. Dobry wieczór, mistrzu! Jeszcze przy pracy? *Sachs*. Ej, kochana Ewciu, jeszcze tak późno?" „Z tych niepokaźnych słów— powiada Hagen — przemawia do nas cała potężna wielkość poetyczna Wagnera."

Oślepiony krytyk przytacza jeszcze następujące dowody tejże „wielkości" z *Latającego Holendra*.

1) „*Holender*. Masz córkę? *Daland*. Tak, drogie dziecię. *Holender*. Niech będzie moją żoną."

2) „*Senta*. A wtedy? *Erik*. Zobaczę was latających po morzu."

3) „*Holender*. Żegnam cię i nie chcę gorszyć. *Erik*. Straszny! To spojrzenie!"

„Kogo — powiada Hagen — nie przejmie najwyższy dreszcz przy tych słowach, tego nie przeniknie on nigdy. Piękność poezyi jest tu tak potężnie wielką, że wyciska łzy rozkoszne."

Ale pozostawmy spłakanego autora „w głębiach poezyi Wagnera" i zastanówmy się, czy owo śmieszne, aż do obłędu posunięte bałwochwalstwo mogło optymistycznie lub pesymistycznie nie zamącić sądu krytyki o zmarłym kompozytorze?

Takie apoteozy jednego *a* lub uderzania czołem przed najzwyklejszymi ustępami libretta jednych strącały w śmieszną ekstazę, drugich nastrajały surowo. To też Wagner, jak nikt ze współczesnych, pozbawiony był sądu krytyki beznamiętnej, spokojnej: miał tylko wielbicieli lub wrogów. Muszą więc naprzód przebrzmieć bałwochwalcze hymny, zanim ów sąd odzyska nad zmarłym swą władzę. Bądź co bądź Wagner, zasłużył na coś lepszego, niż na hołd sfiksowanych przyjaciół.

L.

Pesymizm i etyka.

IV.

Powyższy rozbiór zasadniczych pojęć etycznych, tak jak one wypływają z obu systematów pesymistycznych, upewnia P. Christa w przekonaniu, że twórcy ich więcej przyrzekają, niż dają, że ich roszczenia są zupełnie bezzasadne. Lecz jeżeli w wielu punktach był wyrozumiałym na egzaltowane wybryki Hartmannowskiej myśli i niejednokrotnie wykazywał skłonność zgody w szczegółach, za to na przeciwnym stoi biegunie w bardzo ważnej i z pesymizmem żadnej wyłącznej styczności nieman-

---

Nabożeństwo już się zaczęło. Zirytowane: Józwowa, choć postawiła na swojem, i wszystkie inne, co postawiły na księżem. Jeszcze nigdy tyle w kościele nie wzychano. Po nabożeństwie idą wszyscy pod chór. A tam istny kopiec z mięsa i ciasta wznosi się aż pod organy. Mięso różnego pochodzenia, wieprzowego, cielęcego itp. placki różnej wartości zewnętrznej i wewnętrznej, a najbliżej placków nie właścicielki ich, lecz ubóstwo.

Jak to wszystko łakomie spogląda! Nikt się nie dziwi, tylko bogate gospodynie, najzamożniejszej w parafii wsi włościanskiej, trzymają rogi fartuchów i rogi chustek przy nosach. Jest wiele prawdopodobieństwa, że ocierają i oczy. Ksiądz z organistą już przystępują do podziału. Wszyscy obecni wzdychają. Nie wiem, jak inni ubodzy, ale Karolek płacze, ogromnie mu się mało dostaje i to sam razowiec; ciemna ma też niewiele, ale do worka Kanieskiej padają i placki. Będą wnuki rade! Worki dziada i organisty już drugi raz napełniają się. Kosz do plebanii wędruje piąty raz. Dźwigają go z uśmiechem „brastewni." Z jaką nienawiścią odprowadza ich oczami „ubóstwo" i baby aż do drzwi kruchty!

Józwowa tłoczy się ze swoim koszem i zaczyna dzielić. Baby ogólnie zdziwione. Ksiądz także, przystanął i patrzy.

— Niech proboszcz dobrodziej tak nie patrzy — mówi zanadto podniesionym głosem Józwowa — ja już placek i gęś do plebanii posłałam.

Wrażenie było ogromne, baby pootwierały gęby. Ksiądz, zaręczała kowalka, aż się „przepalił."

— Brakże mu tego było — prawi Józwowa. Potrzeba mu wtrącać się między nas a ubóstwo. Widzita głupie, żebyśta mnie były słuchały, a placki pokrajały, tobym rozdawali wedle gustu, jak i dawnych lat.

— Józweczkowa — szepcze jeszcze w kościele matka ciemnej — zaglądałam do plebanii, tam już dwa gary mięsa gotują.

— Dajtaż pokój — trącają kowalka — ksiądz słyszy, spojrzał na was i aż się na twarzy „zmienił."

— Brak mu się tu teraz przepalać — powtarzała znów swoje Józwowa.

Z jaką też fantazyą wraca z kościoła! Rada jest z siebie. I baby z niej rade. Stary Jakóbek mówi:

— Żeby nie placek Józwowej, toby mi się nie opłaciło dźwigać tych paru bochenków.

Dźwiga jednak.

Kanieska niesie na plecach wypchany wór. Wesoło wstępuje na schody, na pierwszym zaraz zachwiała się. Nie było nikogo przy babinie, żeby ją podtrzymać; nogi obsunęły się po błocie i z wypchanym workiem stoczyła się na bruk. Zemdloną zanieśli do karczmy. Synowa sądziła, że może się tylko matka „natrząchnęła," ale stara iść nie mogła. Musieli ją włożyć na wóz razem z „zadusznemi" plackami i mięsem. Wszyscy sobie opowiadali, jak baba śmiesznie z workiem spadała. Przestali jednak żartować, kiedy stara już z łóżka nie wstała. Synowa głową tylko kiwała, do końca zaręczała, że to było tylko „natrząchnięcie."

W parafii X. od roku 1878 dzień zaduszny bywa już corocznie powodem nieporozumień i żalu między księdzem a ubóstwem i gospodyniami. Zniechęcone przynoszą daleko mniej datków, a wszystkie w całości.

Wystąpienie śmiałe Józwowej, choć chwalone przez wszystkie kobiety, nie poskutkowało i nie znalazło naśladowczyń.

Ksiądz dzieli, jak chciał i chce.

Dla jednej Józwowej zrobił wyjątek. Odwraca się zwykle w inną stronę, gdy tęga baba idzie ze swoim koszem. Ona też tylko jedna słyszy błogosławieństwo „Łazarzy."

X. X.

jącej kwestyi pojęć dobrego i złego. Zdobycze angielskiej etyki, z któremi rachuje się obecnie wielu nawet jej wrogów, pozostały bez najmniejszego wpływu na idealizm Christa i nie zmniejszyły jego bogobojnego wstrętu dla utylitaryzmu, a więc i dla zbliżonych bardzo do niego, albo raczej do hedonizmu pojęć Schopenhauera. Ten bowiem nie zna ani absolutnego dobra, ani zła, lecz widzi w nich pojęcia jaknajzupełniej względne. Dobrem jest to, co nas zadawalnia, złem, co nam przykrość sprawia; czyli że jeden i ten sam postępek może być w jednym wypadku dobrem, w innym złem. Ale nawet dla zwolenników etyki pozytywnej określenie takie jest zbyt ciasnem, gdyż bierze ono czyny ze strony czynnej, t. j. tak, jak się ich subjektowi przedstawiają, niezależnie od tego, jak je przyjmuje strona bierna, doświadczająca. I według Hartmanna, dobro i zło są pojęciami względnemi; nadto dzieli on to ostatnie na normalne i patologiczne, rozumiejąc przez pierwsze takie postępki, w których cele niższego organizmu po prostu nie harmonizują z celami organizmów wyższych (n. p. społeczeństwa w stosunku do rodziny)—a przez drugie te objawy, w których cele indywidualne dochodzą do zwyrodnienia w chorobliwe formy. Złe jest zgubnem dla porządku świata, lecz bywa często pożytecznem jako bodziec do pracy i postępu. Miarą wartości postępków jest wysokość organizmu, którego korzyść lub krzywdę mają na celu; co znaczy, że np. dbałość o dobro społeczeństwa jest wyższą cnotą, niż troska o rodzinę. Inaczej rozumuje Christ: nie odstąpił on jeszcze ani na krok od przestarzałych prawie dogmatów niemieckiej etyki i estetyki; pojęcie dobrego i złego, zarówno jak i piękno, są dla niego bezwzględnymi bytami, zawsze i wszędzie jednakimi, niezawisłymi od czasu i miejsca lub jakichkolwiek celów.

O cały ten rozbiór zasadniczych pojęć etycznych bogatszą jest treść dzieła Christa od dzieła Sommera; jest to różnica, właściwie mówiąc, zewnętrzna, gdyż dosyć było z jednej tylko jakiejkolwiek strony uważnie przyjrzeć się etyce Hartmanna, ażeby stracić wszelkie do niej nabożeństwo — a wielostronność krytyki nie dodaje bynajmniej w tym razie większej pewności jej ujemnemu rezultatowi. Po przetrzymaniu Sommera niemniej jesteśmy przekonani o słuszności jego ostatecznej oceny, jak po przeczytaniu drugiego autora, z tą chyba różnicą, że Christ zaznajamia czytelnika lepiej z całym pesymizmem nietylko w formie podanej przez Hartmanna, ale też w pierwotnem obrobieniu Schopenhauera, i z całym jego socyologicznym aparatem, z jego antropologią i historyozofią. Ta różnica daje mu tytuł do niewielkiej tylko wyższości— o wiele większą dostarcza mu względnie szeroki pogląd na rzeczy, pomimo silnego idealistycznego zabarwienia, mile odbijający od dogmatyzmu Sommera, który często więcej poświęca wyrazów oburzeniu swojemu, niż bezstronnej, chłodnej krytyce. Nie może przebaczyć Hartmannowi, iż ośmielił się na zasadzie jedności duchowej ludzi i bezwzględnej woli nazwać ich dziećmi Boga i wogóle używać terminologii chrześciańskiej. Za wyrocznię prawdziwą uważa Lotzego, jemu przyznaje palmę pierwszeństwa w szeregu myślicieli, jego też cytatami walczy wszędzie, gdzie dowodzenie swoje chce jaknajlepiej wysłowić. Teza, którą na czele swojej rozprawy postawił i której rozwinięcie całą ją wypełnia, orzeka, iż dla ocenienia wartości świata jedynem kryterium nieomylnem jest sumienie; wiedza bowiem teoretyczna tutaj zupełnie nie wystarcza, a powtóre, tylko uznając wszechświętość urządzenia świata, można myśleć o jakiejkolwiek etyce. Badając przyczyny szybkiego rozpowszechnienia się pesymizmu, dochodzi ostatecznie do wniosku, iż głównie schlebianie materyalizmowi i apatyi wyblaklego i przeży-tego pokolenia, dwom żywiołom, z których się składa duch naszego wieku, zyskało mu tak niezwykłą w dziejach filozofii popularność. I Christ, jakeśmy mieli sposobność widzieć, nie bardzo oddala się od dualizmu niemieckiego i prawomyślności, lecz ich nikomu nie narzuca i spokojnie prowadzi dyskusyę.

Co do nas, to niezupełnie podzielamy zdanie Sommera. Przedewszystkiem sarkanie na moralne zwyrodnienie społeczeństwa opiera się nie na faktach, lecz jest powtórzeniem narzekań starców zdziecinniałych, wytworem osłabionych wiekiem mózgów i jako takie nie wytrzymuje krytyki. Ci, których brak wewnętrznej treści popycha do próżniactwa i gnuśności, nie potrzebują filozoficznej sankcyi dla swego trybu życia. Pesymizm jest po prostu modnym. Jak Byron dzięki swemu sceptycyzmowi, który czynił ludzi „interesującymi,“ pozostawił w spadku po swym wielkim duchu tysiące małpujących go epigonów, wyblakłych salonowców i pseudo-poetów, posuwających przedrzeźnianie go aż do kopiowania węzła w krawacie — jak zauważył trafnie Macaulay — tak i rozpacz filozoficzna „podoba się“ spóźnionym romantykom i z każdym dniem więcej znajduje wśród nich zwolenników. Na łut prawdziwego *weltschmerzu* w literaturze przypada centnar podrabianego w życiu powszednie; cóż dziwnego, że ekscentryczny systemat Schopenhauera i Hartmanna otumanił słabe głowy wszystkich choruiących na efektomanię i oryginalność. Dodajmy do tego tradycyjne miłowanie się w metafizyce niemców, narodu, który wykołysał wszystkie spekulacyjne dziwolągi i w obecnym wypadku najwięcej rozkupił egzemplarzów *Filozofii bezwiedności*—a przestanie wydawać się nam dziwnem, że hałaśliwy bursz niemiecki, wchłaniający w siebie antałek gambrynusowego trunku dziennie, z mieszczańską dumą prawi o swym pesymizmie. Zmysł naśladownictwa jest najbardziej rozwiniętą cechą u ludzi, w tych zwłaszcza wypadkach, gdy widzą coś nowego, lub oddawna niewznawianego. Nie możemy przecież wymagać od zwolenników szematyzmu i wszelkiej choćby najgłupszej systematyzacyi, ażeby zadawali się starą mądrością czcicieli Nirwany, prostą, wyraźną, niezeszpeconą niemieckiem gadulstwem. Ale filozofia indusów wymaga konsekwencyi, zastosowania jej natychmiastowego do życia; pesymizm Byrona, Leopardiego, Heinego, Musseta wymaga szczerości; najlepiej więc uciec się do mędrkowania metafizyków, którzy konsekwencyi nie wymagają, bo sami ani wymaganiom jej, ani wymaganiom szczerości nie czynią zadosyć. Czy Hartmann sam umiałby obojętnie patrzyć na rozpowszechnianie śród mas jego teoryi, co przecież niezbędnem jest dla urzeczywistnienia jego historyozoficznych postulatów — wątpimy; każdy bowiem, gdyby nawet uwierzył, że niebyt jest lepszy od bytu, pobudzony chłopskim rozsądkiem, zapytałby: czyż nie lepiej od razu w łeb sobie palnąć, niż tysiące lat przygotowywać się do tego?

I chłopski rozum miałby zupełną słuszność. Ale pewni jesteśmy, że nie uwierzyłby on wcale w premisę, do tego rozpaczliwego wniosku prowadzącą: to jest w przewyżkę złego nad dobrem. W samej rzeczy, ani wesoły żywot Schopenhauera, ani spokojny Hartmanna, *apostołów* unicestwienia — prawdziwości jej nie potwierdza. Przewaga niedoli jest rzeczą bardzo względną, dotyka pojedyncze osobistości, które albo kończą życie samobójstwem, albo boleść swoją wynurzają w rymach; jest też wielu, którzy siłą woli zmuszają się do wytrwania pod ciężarem wiecznie nienasyconych pragnień i którym natura daru mowy bogów odmówiła, by sobie ulżyć mogli: ale wszyscy ci stanowią małą tylko cząstkę ludzkości. Są to jednostki, obdarzone wyjątkową wrażliwością i kontemplacyjnym duchem — reszta pędzi żywot spokojny, niezamącony żadną uporczywą, dręczącą myślą i jeśli czuje niedolę, to dlatego, że jej każą, że w nią wmawiają niezadowolenie pesymistyczne dzieła, po przeczytaniu których łatwo odzyskuje równowagę. Taka wyrozumowana rozpacz nie jest rozpaczą, nie jest nawet zniechęceniem; a u kogo istnieje w rzeczywistości, u tego objawia się w uczuciu, nie w filozoficznych spekulacyach. Społeczeństwo w urządzeniu swem zbyt wiele pozostawia i pozostawiać będzie zawsze do życzenia, ażeby wszystkich członków uczynić mogło choćby tylko zadowolonymi z życia, a cóż dopiero szczęśliwymi. Obecne stulecie, które stare ideały stanowczo zarzuciło, a nowych jeszcze nie sformułowało, stworzyło całą grupę „zrozpaczonych w literaturze“ i w życiu. I ci właśnie są objawem naturalnym i usprawiedliwionym, ci „czują i cierpią za miliony“ najprawdziwszą w świecie boleścią. Lecz z chwilą, gdy przenosimy pesymizm ze sfery widzialnego świata w krainy metafizyki, tracimy grunt pod nogami; musimy wówczas pogodzić się z myślą, że nasze spekulacye w najlepszym razie znajdą tylu zwolenników, ilu ich znajduje każdy z innych metafizycznych systematów, których historya zna setki nieledwie.

Jednakże, gdy odrzucimy całe metafizyczne rusztowanie w doktrynach Schopenhauera i Hartmanna, gdy zwrócimy uwagę tylko na faktyczną część systematu, mianowicie jego historyozofię czysto teoretyczną, oderwaną od praktycznych wniosków, z mniejszą o wiele zasadą będziemy ją mogli nazwać wyssaną z palca. Że cywilizacya współczesna, z czasem dobiegłszy do kulminacyjnego punktu, takiego mniej więcej, jakim był wiek Peryklesa w Grecyi, zacznie dążyć do rozkładu i ostatecznie legnie w gruzach, by ustąpić miejsca nowym ludom i nowym kulturom — to uważać można nietylko za hypotezę, lecz za teoryę naukową. Ubiegłe dzieje ludzkości każą się tego spodziewać i niejeden myśliciel otwarcie lub skrycie cofnąłby się przed tem strasznem proroctwem. Przypomnijmy sobie tylko rolę i znaczenie „okresu zgrzybiałości“ u Drapera, pomyślmy, ile walk stacza bezustannie ucywilizowana ludzkość z siłami natury, ile ziarn zniszczenia kryje w sobie nieubłagana walka o byt, ile ludów podniosło się z nicości, a ile w nicość się zapadło — a straciemy bezwzględną ufność w wieczność naszej cywilizacyi. Historyozofia Hartmanna jest tylko pewnego rodzaju figurycznem przedstawieniem grożącej nam w oddali wieków przyszłości; jest symbolicznym wyrazem rosnącej refleksyi dojrzewającego człowieka, trzeźwo i bez różowych iluzyj spoglądającego przed siebie.

W dziejach etyki pomysł Hartmanna nie zostawi prawdopodobnie żadnego po sobie śladu: ani nowego punktu widzenia, ani objaśnienia dotychczasowych wątpliwości w dziedzinę filozofii praktycznej nie wprowadził; zbogacił tylko liczbę utopijnych mrzonek, nad urzeczywistnieniem których sam się dostatecznie nie zastanowił. Czysty altruizm i czysty egoizm, czysty hedonizm i czysty idealizm wzajemnie w systemacie jego się negują, pozostawiając czytelnikowi swobodę wyróżnienia tego lub owego pierwiastku. A przytem ta wilcza natura, wciąż do lasu ciągnąca, owo bezustanne ciążenie, pomimo objawienia jawnej nienawiści do dogmatów, owa przez wszystkie szczeliny teoryi wyłażąca idea zbawienia, męczeństwa i wreszcie trójcy, odtworzonej w woli bezwiednej, wyobrażeniu jako dwóch momentach składowych absolutów — jak dowcipnie zauważył Vaihinger — wszystko to zgodność z so-

bą, siłę opozycyi i oryginalność pomysłu—trzy niezbędne cechy wszystkich godnych uwagi systematów znacznie osłabia.

N. Hirszband.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Feliks Bogacki. **Istota zjawisk psychicznych.** Nakładem Lesmana i Świszczowskiego. Warszawa.

Zauważono, iż u nas wprzód nim pewna teorya rozpowszechni się i poznaną zostanie, pojawiają się gorące jej zaprzeczenia i odparcia; że polemizujemy z tem, czego jeszcze nie znamy, ku czemu bynajmniej się nie skłaniamy, co... wcale nam nie grozi.. Wprawdzie taktyka podobna prowadzi zwykle do wprost przeciwnych razultatów, niemniej fakt istnieje.

Oto dowód.

Gdy ogół ma bardzo słabe, albo nie ma wcale naukowego pojęcia już nie o pewnym kierunku psychologii, lecz o psychologii wogóle, a w piśmiennictwie nie posiadamy skromnym nawet wymaganiom odpowiadającego wykładu tej nauki, p. Bogacki występuje przeciw wywodom fizyologii, przeciw materyalistycznemu tłomaczeniu duszy itp., jak gdyby wiedza nasza bliską była bezdroży a publiczność zupełnie przez nią obałamuconą. Zresztą względy te, bardziej okolicznościowej i utylitarnej natury, nic jeszcze nie przesądzają o samej pracy, która wewnętrzną wartością okupićby się mogła.

Dochodząc istoty zjawiska duchowego, istoty w znaczeniu względnem, autor podejmuje przeważnie cechy negatywne, okazuje, czem ono nie jest lub być nie może wbrew niektórym poglądom. W szeregu dowodów, stwierdzając zasadniczą różność zjawiska psychicznego od jakiekolwiek fizycznego, zaznacza wyraźnie stanowisko swe wobec psychologii materyalistycznej i w tym względzie nic mu do zarzucenia nie mamy, prócz chyba to, że głosi rzeczy nie nowe i że za dużo zadaje sobie trudu z poglądem, który zbyt jawnie grzeszy niedostatkami analizy wewnętrznej. Ale autor, nie zadawalając się wykazaniem różności i niezamienności zjawisk psychicznych względem fizycznych, idzie dalej i kwestyonuje ich wzajemną zależność, ich ścisłą stosunkowość, wywalczając dla objawów psychicznych pewien byt samoistny i odrębny. Lecz twierdzenie podobne, o ile w zasadzie możliwem jest do podtrzymywania, o tyle w argumentacyi p. B. wychodzi bardzo chwiejnem i mnóstwo słabych swych stron odkrywa. Musielibyśmy tyleż napisać, co książka w sobie zawiera, chcą wykazać wszystkie jej niekonsekwencye, pomijanie faktów, mieszanie kierunków i poglądów, przeciw którym autor powstaje; możemy przeto podjąć tylko główne i wytyczne punkta.

Dusza dla p. B. nie jest tylko subjektywnem uogólnieniem zjawisk, ale pewnym bytem, substancyą; traktowanie tejżej, jako abstrakcyi, uważa za bezpodstawne (str. 49); ale cóż znaczy w takim razie, że życie duchowe objawiać się może tylko w żywym i zdrowym organizmie (9)? Wobec tego powstaje tylko sławetne pojęcie umysłu jako artysty, władającego ciałem niby instrumentem. Dziwny to jednak artysta, który niczem nie objawia istnienia po za istnieniem instrumentu (54); czy nie jest to raczej tylko pewna własność ostatniego? Dziwny też to instrument, który wydawać może te same skutki bez najmniejszego udziału artysty, gdyż, jakkolwiek autor fakt ten zapoznaje albo w dwóch miejscach sprzecznie o nim się wyraża — raz mówiąc, że wszystkie zjawiska psychiczne są możliwe pod warunkiem istnienia świadomości (7), to znów, że istnieje pewna sfera zjawisk psychicznych po za obrębem świadomości (14) — niemniej jest to prawdą, coraz ściślej udowodnianą, iż przeważna część naszego życia duchowego odbywa się w sposób nieświadomy,

Pominąwszy ruchy automatyczne, które zrazu były świadomymi, znajdujemy mnóstwo danych, okazujących bezwiedne funkcyonowanie aparatu nerwowo-mózgowego z takimi rezultatami, które przypuszczaćby kazały udział świadomości (bezwiedne wykonywanie utworów muzycznych w przystępie zawrotu epileptycznego, rozwiązywanie we śnie trudnych zagadnień matematycznych itp.) Wszystkie fakty te doprowadzają do koniecznego wniosku, iż w akcie psychicznym świadomość jest pierwiastkiem podrzędnym, przymiotem towarzyszącym umysłowi w pewnym stadyum jego rozwoju, pojawiającym się i znikającym bez wpływu na rodzaj i skuteczność aktu duchowego, tak jak cień nie wpływa na kroki idącego, chociaż im towarzyszy.

Niewięcej godzić się możemy na dalsze wywody autora, którymi stara się uzasadnić niezależność ducha od organizmu fizycznego. Bodziec może być jednakowy w stosunku do różnych osób, wrażenia jednak będą rozmaite. Jeżeli zjawiska psychiczne są tylko stanami fizyologicznymi, dla czegóż w tym wypadku i tylko w tym takie różnice? zapytuje autor. Lecz czyż tylko w tym; ten sam pokarm jeden organizm odżywia, w drugim wywołuje ciężką niestrawność itp. Dziwi się p. B., że mimo licznych nader różnic między rasami ludzkiemi a także między ludźmi i zwierzętami, pod względem treści ich umysłowej panuje uderzająca zgodność, i wobec tego dochodzi do wniosku, że „jakkolwiek najbardziej nawet oderwane pojęcia powstają w nas dzięki poprzednim zmysłowym wrażeniom“ (23) — „posiadamy w umyśle naszym świadomość prawd pewnych, która to świadomość pierwej nawet, aniżeli zdołamy ją w jakikolwiek sposób usprawiedliwić, istnieje już jako gotowa i właściwa umysłowość ludzka“ (25). Chwiejny ten wniosek upadnie sam przez się, gdy podniesiemy to, co autor pomija, mianowicie z jednej strony wielkie mnóstwo cech wspólnych wszystkim wyższym organizmom, cech anatomicznych i fizyologicznych, a także pewną identyczność warunków zewnętrznych na całym obszarze kuli ziemskiej, które dostarczając jednakowych doświadczeń, wycisnąć musiały wspólne piętno na powszechnej umysłowości; z drugiej zaś strony — liczne i wyraźne różnice w umysłowości, zachodzące nietylko u różnych gatunków ludzi i zwierząt, lecz nawet u osobników tego samego narodu i gminy, tak dalece, iż ten sam wyraz nigdy dla dwóch ludzi niema jednakowego znaczenia. Byłoby to pracą tylko mechaniczną zebrać i obliczyć wszystkie dane, mówiące za naszem twierdzeniem. Jak daleko posuwa się autor w swym opozycyjnym zapale, świadczy to, że w grupie języków indo-europejskich podnosi tylko podobieństwa, które się utrzymały wbrew różnicom otoczenia, w jakiem narody znalazły się po wywędrowaniu z Azyi. Czyż jednak te różnice otoczenia nie mają odpowiednich sobie równie licznych różnic wjęzyków owej grupy? Istnienie w człowieku popędu altruistycznego, który „nie ma w sobie nic zmysłowego“ (30), uważa autor za zupełnie niezrozumiałe, jeśli tylko życie psychiczne uważaćbechcemy za funkcyę materyi, której zasadniczem prawem jest egoizm, dążenie do samozachowania. Nie wchodząc tutaj w możliwe objaśnienie altruizmu zgodnie z zasadniczemi własnościami materyi, przytoczę tylko fakty, okazujące, że unicestwianie się materyi, jako danej formy bytu, następuje nietylko pod działaniem altruizmu: niższe organizmy mnożą się przez dzielenie i z tą chwilą byt ich indywidualny ustaje. Komar wpada i ginie w płomieniu świecy; człowiek w zaspokajaniu zmysłowej, czysto egoistycznej namiętności, podkopuje zdrowie i umiera itd. itd. W każdym z takich wypadków organizm własną, przyrodzoną mu siłą dąży do zguby, a przecież altruizm tu nie działa.

Nie będziemy już wchodzili w dalsze szczegóły, bo zresztą czyż można dziś zbijać podobne twierdzenia, jak to, że człowiek jedynie zwierzęce usposobienia przynosi na świat, moralne zaś popędy wyrabia w nim dopiero wychowanie (36); albo, że wyobraźnia tworzy swoje budowle z jakiegoś zupełnie nam nieznanego materyału (25). Wszakże jeszcze jeden punkt domaga się zaznaczenia, fakt *uwagi*, którą autor mianuje czynnikiem samoistnie zachowującym się wobec procesu fizyologicznego i niekiedy w nim uczestniczącym, przez co dopiero proces ów staje się świadomym, wchodzi do sfery psychicznej. Łatwo w tej mierze rozprawia się autor z fizyologami, biorąc za przeciwnika Kl. Bernarda, gdy tymczasem mamy w tym przedmiocie poważne bardzo prace psycho-fizyków, a także Maudsleya.

Zarzuciwszy zupełnie pojęcie t. zw. uwagi czynnej, fizyologia objaśnia sam fakt w ten sposób, iż w organizmie każdej chwili istnieje ograniczona ilość rozporządzalnej energii ruchowo-cząsteczkowej, która skupiając się w jednym punkcie (dajmy na to komórce) nie może być obecną w innym w tym samym stopniu, że zaś od natężenia ruchu zależy powstanie świadomości, to oczywiście w danej chwili świadomymi być możemy jednego tylko lub niewielu wrażeń; wypadek podobny zachodzi w znanym fakcie, że ból silniejszy zniecziła słabszy. Zresztą zarówno to, jak wszystko, co przytacza autor na dowód bezsilności teoryi fizyologicznej wobec niektórych zjawisk duchowych, niema istotnego znaczenia, gdyż nie świadczy przeciw teoryi, że niektórych szczególnych wypadków objaśnić nie jest zdolna — dość, jeśli objaśnia względnie najwięcej faktów i względnie najdokładniej.

J. W. D.

Z ANTOLOGII WŁOSKIEJ.

GIACOMO LEOPARDI.

Scherzo.

Kiedym był jeszcze młodzieniaszkiem,
Chodziłem do Muz w odwiedziny.
Poczciwe to były dziewczyny,
I nie gardziły niedojrzałym gaszkiem.
Raz mnie, pamiętam, jedna Muza miła
Oprowadziła
Po wszystkich zakątkach warsztatu;
Przyczem poznałem: w jaki to sposób
Tworzą się dzieła tych jasnych osób,
Co błyszczą światu
Talentem.

Gdy już w stosunki wszedłem dokładne
Z każdem narzędziem, z każdym instru-
[mentem,
Co wrota do sławy odmyka,
Nagle Muzę zagadnę:
„Panienko, nie widzę — pilnika!“
„Zbyt często używany przez kochanków
[sławy,
Popsuł się pilnik i leży na strychu“ —
Odrzekła Muza pocichu.
„Popsuł się? więc go trzeba oddać do na-
[prawy!“

A ona na to:
„Przy pracy nawale,
Nie mamy czasu myśleć dzisiaj o tem;
Zresztą, ważniejszym kłopotem
Drużyna wieszczów jest dziś zaprzątniona,
I już pilników nie używa wcale!..“

ANTONIO GUISLAZONI.

Jęki i jęki.

Wszystkie twe, mistrzu, arcydzieła,
Drukarnia już odcisnęła,
Przestały jęczeć prasy przy zmudnej za-
[bawce,
Lecz jęczą teraz — wydawce.

Epizotya.

W miasteczku na zarazę bydlęta padały,
Do smaku im nie był ni owies, ni sieczka,
Więc o zdrowie swe dbały,
Burmistrz czemprędzej wyniósł się z mia-
[steczka.

Małżeństwo.

Kto dla pieniędzy, z nudów lub z miłości,
Bierze za żonę pannę albo wdówkę,
Taki jest dla mnie obrazem *całości*,
Która się zmienia w *połówkę*.

Skutek i przyczyna.

Od roku już. don Peppino
Nie bierze w rękę nic prócz dziennika;
A mówią, że ma bzika —
Jestże to skutkiem czy przyczyną?

Wiktor Gomulicki.

LIBERUM VETO.

Zagadkowe miauczenie. — Na pociechę Łysej Góry. — Czerwony z czarno-żółtego. — Nowa rola. — Jak pan Skiba sobie pomaga. — Spełnienia warunków kontraktu i szczególne wymaganie. — Nie podarek, ale dług. — Napad histeryczny kilku gazet. — Kwestya grosmanowska. — Nadzieja w Izbie. — Starania p. Trochimowskiego. — Izba szlachecka. — Wieloryb i śledź. — Nowy strój *Tygodnia*. — Piotrków czy Petrokow.

Że oblizując się po sadle *Kuryera Warszawskiego*, na kogoś miauczy i, udając lwa, kocim ogonkiem po chudych boczkach bije — to widzę; ale czego chce, doprawdy nie wiem, bezimienny przyjacielu, chociaż w przesłanym mi wycinku „dumań“ p. *Nie-Juniusa* raczyłeś pewne wyrażenia podkreślić czerwonym ołówkiem i zaznaczyć, że jest to „odpowiedź na *Bałamuctwa*.“ No, ale nie mogę udawać całkiem niedomyślnego od czasu, gdy znane mi są prawa naszej akustyki dziennikarskiej, według których: każdy trzeźwy głos polityczny, wychodzący z organów postępowych, odbija się echem złorzeczących półsłówek w ciemnych zaułkach prasy warszawskiej a krzykliwych oskarżeń w składach wiktuałów naszej prawomyślności za granicą. Otóż wnoszę, że p. Nie-Junius chciał spełnić tę wspaniałą misyę i że ją spełnił z zupełnem zadowoleniem całej naszej gazeciarskiej Łysej Góry. która najbardziej lubi drogę przez komin na łopacie. Tą samą również drogą znalazł się w *Kuryerze Warszawskim* nowy kapłan sabatu, p. Wł. Skiba, który ponownie przekonywa nas o swej mocy zmieniania postaci. Z czarno-żółtego i dobrowolnie urzędowego współpracownika *Gazety Lwowskiej* stał się nagle czerwonym koroniarzem i zaleca nam to, przed czem na dawnem c. k. stanowisku obowiązany był dziennikarską rogatkę zamykać. Chęć odegrania nowej roli w nim jest — tylko wprawy mu brak. Nagradza on ją w walce kłamstwem i potwarzą. Tak np. kiedy pewien autor w dramacie kamienuje *zdrajcę* a w artykule zaleca swemu narodowi. jako sposób ratowania życia. *rozwój umysłowy i ekonomiczny*. p. Skiba upatruje w tem „dwuramienność drogowskazu,“ twierdzi, że ów autor „*takiemu* realizmowi wystawia ołtarz“ w drugim wypadku, który potępia w pierwszym. Jeżeli ktoś mówi: „winniśmy zatem nietylko krzepić się, kształcić rozum, wyrabiać dzielny charakter i pielęgnować czyste uczucie miłości dla kraju. ale także oddychać ciągle świeżem powietrzem postępu ogólnej myśli ludzkiej, odrodzoną przezeń krwią zasilać własny organizm i wytężać całą jego energię twórczą,“ jeśli ktoś dowodzi, że „samodzielność może być tylko wynikiem wzmocnienia *sił umysłowych i materyalnych, wszechstronnego rozwoju narodowego*, skojarzonego z postępem ogólnym,“ to p. Skiba ma czoło głosić, że autor tych słów „w inny“ byt, jak materyalny „nie wierzy.“ Ale o ten rodzaj bezczelności mniejsza. Że p. Skiba nas szkaluje. wcale nas tem nie dziwi i nie obraża, gdyż zapewne spełnia warunki kontraktu z *Kuryerem Warsz.*; ale dziwi nas i obraża, wymagając, ażebyśmy walczyli „szlachetną bronią argumentacyi z przeciwnikiem,“ który łapownictwo Kamińskich usprawiedliwia naszemi zasadami moralnemi i przestępstwo zaciąga w nasze rachunki jako „zasługę,“ który fałszuje nasze wywody, wtrąca w nie swoje „dodatki“ i po tem wszystkiem do obrony, jako „szlachetną broń argumentacyi“ używa... „szaflika.“ Oto jest metoda i słownictwo „nowo konserwatystów,“ ich organu, którego redaktor niedawno tak oburzał się na „paszkwile.“ Nie, zacny, panie Skibo, daj pokój wezwaniom do Muzy, która ci natchnień nie zsyła; pan możesz mieć dokładne pojęcie o tem. co potrzeba *Kuryerowi Warszawskiemu*. ale nie masz nawet przybliżonego wyobrażenia o tem, co jest „szlachetna broń argumentacyi,“ co to jest walka na myśli, co polemiczna godność, co powstrzymanie pióra w chwili, gdy ono przestaje sądzić a zaczyna czernić. Szacunek dla przeciwnika — to nie podarek, ale dług, do którego naprzód trzeba mieć prawo a potem dopiero go egzekwować. Dług ten wypłacamy rzetelnie każdemu, gdy mu się od nas należy; ale żaden obowiązek nie zmusza nas do haraczu dla brutalstwa.

Wyborną bywa czasem czułość naszych nerwów dziennikarskich na polemiczny hałas. Zniesie ona raz bez wstrętu najohydniejsze napaści, a drugi raz wstrząsa się gdy ktoś silniej głuchemu do ucha krzyknie. Niedawno właśnie kilka gazet dostało napadu takiej histeryi. Wznowiono operę Grosmana *Duch Wojewody*. Kilka pism przeczytało kompozytorowi rzeczywiście nieco spóźniony, ale dość słuszny wyrok. Bo czy tam na proteście podpisze się p. W. Bogusławski, czy „stały prenumerator“ jakiegoś pisma, ostatecznie fakt pozostanie faktem, że opera słaba. zesztukowana z najrozmaitszego rodzaju pożyczanych skrawków. Wobec wytoczonego po 60 przedstawieniu procesu można było co najwyżej zauważyć powodom: nie mordujcie jej, bo sama niedługo umrze. Tymczasem, dzięki składkowemu oburzeniu kilku pism, które natychmiast każdy zatarg umieją sprowadzić do pobudek osobistych, p. Grossman został męczennikiem a jego krytycy siepaczami. I o to jest gotowa „kwestya grosmanowska,“ nowe *kri-kri*, które brzmi jeszcze w kolumnach dziennikarskich. Jakież to życie nasze jałowe. kiedy takie kwestye zdolne są zająć uwagę publiczną! Jakaż ta nasza opinia małoletnia, kiedy jej przedstawiciele biorą się za czuby o to, czy o operze wolno wyrazić sąd nieprzychylny po 60 przedstawieniu, czy też nie!

O, bodajby p. Trochimowskij jak najprędzej wrócił z Petersburga i przywiózł nam Izbę obrończą, po którą, według zapewnienia dzienników, pojechał. Możeby to przynajmniej dało odpocząć *Duchowi Wojewody*, który wywołany zaklęciami polemicznemi tak długo w prasie pokutuje. Zresztą owa Izba przyda nam się z innej strony. Coraz częściej adwokaturę naszą kompromitują wypadki, za które ona rumienić się musi tem boleśniej, że nie ma środka im zapobiedz. Gdyby posiadała jakieś ciało dozorcze, mogłaby lekkomyślnych w porę od nadużyć powstrzymać a niepoprawnych ze swego grona wyłączyć. Dziś jest bezwładną wobec jednostek niesumiennych i przewrotnych. Są zręczni korsarze. którzy, nie ucząc się w szkole, umieją w życiu omijać Scylle i Charybdy kodeksu karnego; jakże dopiero tę żeglarską sztukę posiada uzbrojony w wiedzę prawniczą adwokat! Sąd nigdy go nie złapie przy pierwszym ogniwie. lecz na końcu długiego łańcucha występków, wtedy. kiedy owym łańcuchem trzeba już winnemu okuć ręce.

Spodziewając się tak wiele od Izby obrończej. nie mogę przejść bez głębokiego ukłonu około innej Izby, która jest bardzo starą. ale niedawno zaświadczyła o swej energii w sposób publicznego uczczenia godny. W Łęczycy okoliczni ziemianie wyprawili liczny składkowy bal. Między innymi kupił sobie bilet na zabawę młody i niezamożny dzierżawca. Już miano rozpocząć tańce. gdy do jednego z gospodarzów balu zbliża się dumnie z germańskich wód pochodzący wieloryb i zawiązuje z nim taki dyalog:

— Panie, panie, co tu robi ten chudy śledź?

— Sprzedałem mu bilet.

— Ależ to bal *szlachecki*.

— Przepraszam...

— Postaraj się pan wycofać bilet.

Jakoż bilet wycofano wraz z zawstydzonym gościem, który może uwierzył zaręczeniom *Niwy* i *Słowa*. że kastowość i socyologia szlachecka — to wymysły *Prawdy*. Niezależnie od przysiąg owych dwu Monitorów ziemiańskich wolno nam spytać: czemu szanowne wieloryby nie dają ściślejszych instrukcyj swym kasyerom względem śledziów? Czy wolno publicznie wyprowadzać za drzwi człowieka za to tylko, że on jest od współbiesiadników biedniejszym? Jeżeli panowie chcą bawić się w swem własnem zamkniętem kole. po co urządzają sprzedaż biletów? Charakterystycznym szczegółem owego „braterskiego aktu“ było to, że go wykonał gospodarz zabawy, który może sam wspinał się mozolnie do posiadanego obecnie chleba i który cukrując skrzywdzonemu gorzką pigułkę, zapewnił świat w inseratach *Kuryera*, iż nieporozumienie wynikło skutkiem urządzenia balu „bez tendencyj.“ Humor w tem usprawiedliwieniu, chociaż mimowolny, ale jest... złoty humor!

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Prawo zwyczajowe i kodeks. — Głos synogarlicy w Gazecie Polskiej. — Nowe porządki i ich związek z miotłą i łopatą. — Skromny cywilizator Pabianic. — Plaga pogranicza pruskiego. — Ciemnota zabobonu, jej wesołe i smutne następstwa. — Rosa i słońce.

Prawo zwyczajowe poprzedza zawsze redakcyę kodeksów. Niewinnym obycza-

jem doby dzisiejszej są kolosalne kradzieże. Otacza je aureola bohaterstwa a opinia publiczna, oswoiwszy się z niemi, wynalazła całe słownictwo „sprzeniewierzeń“ i „nadużyć“ dla ochrzczenia nowego zjawiska. Za głosem ogółu podąża powoli i zdanie prześwietnych sędziów, którzy w wymyślaniu *od złodziei* nie widzą już nic ubliżającego. Przekonać nas o tem może list otwarty p. F. Brudzińskiego do *Gazety Polskiej*. W roku przeszłym p. B miał odwagę wyegzekwować na dzierżawczyni swego ogrodu należne sobie pieniądze. Nie wiem, jak wielką była zażyłość owej pani z Proudhonem, ale postępek wierzyciela uznała ona za... kradzież; pragnąc zaś podzielić się poglądem z „wielmożnym dziedzicem“ dotarła aż do jego mieszkania, skąd — po wypowiedzeniu kilku krzykliwych argumentów — została... wydaloną. Kroniki nie mówią nic, czy wydaleniu temu towarzyszyła jakaś żywsza gestykulacya obrażonego; dowiadujemy się natomiast, że rezultatem całego zajścia były aż dwie skargi podane do sądu: pani uskarżała się na obelgę czynną „przez wyrzucenie za drzwi,“ pan — nie chciał nosić na sobie zarzutu złodziejstwa. Sąd gminny uwzględniając prawo przyjmowania lub nieprzyjmowania natrętnych gości, a nadto, nie widząc nic pochlebnego w nazwie złodzieja, zaproponował *pani* tygodniową medytacyę w kozie, a pana od odpowiedzialności uwolnił. Przyszła penitentka, niezadowolona z wyroku, odwołała się do wyższej instancyi. O tych jej zabiegach pan B. *nie wiedział* nic aż do czasu, gdy mu doręczono „wyższy wyrok“ opiewający, iż pomawianie go o złodziejstwo było *niewinnym żartem*, a natomiast brak gościnności wkłada na niego obowiązek przepędzenia kilku dni w areszcie policyjnym... Jednocześnie nieszczęśliwy eks-tryumfator otrzymał od *pani* propozycye zamiany niedogodnej dla niego kary na... monetę kurs w kraju mającą — w ilości rs. stu. Pragnąc jednakże powściągnąć numizmatyczne zapały swojej przeciwniczki, p. B. zdecydował się odcierpieć karę, a upragnione przez nią pieniądze przesłał na korzyść osad rolnych do redakcyi *Gazety Polskiej*.

Z całej tej sprawy skorzysta najwięcej ofiarodawca: będzie on teraz *wiedział*, gdy adwokat strony przeciwnej założy przeciwko niemu apelacyę; niemniej wielki pożytek odniesiesz i ty, czytelniku, z niniejszego opowiadania: nie narazisz się już nigdy na śmieszność, oskarżając kogoś za *niewinne żarty*.

Potrzeba się uczyć, bo inaczej można wpaść w niebezpieczeństwo. Co do mnie to postanawiam studya takie czytelnikom moim ułatwiać. Jeżeli np. kiedykolwiek żebrak jakiś poprosi was o jałmużnę, to nie omieszkajcie zapytać go jak najgrzeczniej: „Ileż pan dobrodziej sobie życzy?“ W przeciwnym razie będziecie się mogli spotkać z miotłą albo łopatą, jeżeli tylko znajdą się one przypadkiem pod ręką „interesanta.“ Takiemu smutnemu losowi uległ niedawno proboszcz wiejski z okolic Płocka. Obdarzywszy skromną jałmużną dwoje jakichś włóczęgów, księżyna zamknął za nimi drzwi i właśnie miał już odejść, gdy w tem posłyszał powtórne stukanie. Zdziwiony otworzył, aby zobaczyć co się dzieje. Okazało się, że państwo Jasik (tak się nazywa znane małżeństwo) wcale nie byli zadowoleni z „już“ i prosili o „jeszcze.“ Nie zważając na przedstawienia księdza, zaczęli oni energiczniej popierać swoje wymagania. Działo się to w kuchni; początek akcyi przypomina żywo pewną bajkę, gdyż „dziad porwał za kociubę, baba— za łopatę,“ ale koniec był o wiele smutniejszy, bo najprzód sutanna mocno została uszkodzona, a potem na krzyk gospodarza domu zbiegli się ludzie i państwo Jasik nie chodzą już dzisiaj „po proszonym chlebie,“ ale chleb i woda przychodzą do nich w towarzystwie dyżurnego „dziesiętnika.“

Nauczyciel szkoły elementarnej w Pabianicach przygotował się należycie do zajęcia zaszczytnego stanowiska. Przybywszy do cichej mieściny w podwójnem celu — uczenia młodych i cywilizowania starych jej obywateli, drugą część swego zadania zaczął bardzo energicznie, kradnąc dawnemu swemu poprzednikowi sto kilkadziesiąt rubli wraz z pugilaresem. Jako „mały nie prosty“ zaszył jedną część pieniędzy w futrze, drugą schował na piecu, a pugilares zakopał w ogródku. Wszystko to jednak na nic się nie zdało: kradzież wykryto, pieniądze odebrano, a nawet pugilares ujrzał jeszcze światło dzienne. Magistrat miejscowy postarał się o spisanie odpowiedniego protokółu i poddaniu całej sprawy decyzyi sądów. Delikwent z dziecinną szczerością przyznał się do winy. Sprawiło to na wszystkich tak dobre wrażenie, iż pozwolono mu na dawnem miejscu oczekiwać dalszych losów; zdaje się jednak, że władza prokuratorska uzna niebawem łaskawość taką za zbyteczną.

Na pograniczu pruskiem, jak donoszą pisma prowincyonalne, demoralizacya szerzy się z przerażającą szybkością. Pijaństwo, rozpusta, kradzieże nurtują wsie i osady nadgraniczne, a po nad tem wszystkiem, jak królowa złego, płaszcz swój roztacza — ciemnota. W każdej wiosce, co parę chat niemal, spotkać można tajemne szynki — gniazda spodlenia i nędzy. Gospodarzami ich są zwykle przybłędy, ludzie zakordonowi. Oni to kierują opinią i literalnie *zmuszają* do pijatyk i nierządu. W jednej z takich wiosek za namową samozwańczego kierownika opinii — powybijano okna i drzwi w chacie włościanina, który nie chciał brać udziału w bezecnych hulankach nocnych...

Przed niedawnym czasem we wsi Brodnia w pow. tureckim dwaj włościanie pokłócili się z trzecim. Ten ostatni wyrwał jednemu z przeciwników garść włosów, odgrażając się, że użyje ich w celu czarnoksięskich praktyk, których wynikiem będzie oślepnięcie jego adwersarzy. Kmiotkowie, przerażeni perspektywą bliskiej ślepoty, dołożyli wszelkich starań, aby fatalne pasmo włosów odebrać; nie mogli jednak uczynić tego inaczej, jak tylko... zabijając mniemanego czarodzieja. Gdybyśmy nie potrzebowali jeszcze stwierdzać zaciętych dysput o wpływ oświaty na moralność, to możeby wypadki podobne rzadziej się u nas przytrafiały.

Inną znów daninę na ołtarzu dzikiego barbarzyństwa złożyli mieszkańcy wsi Wincentówki. Złapawszy na gorącym uczynku podpalacza, poddali go wraz z dwoma jego wspólnikami wyrokowi dorażnego sądu. Duchy inkwizytorów średniowiecznych wyprawiały sobie pewno ucztę nad cichą wioską ukraińską, w której męczono trzech ludzi, łamiąc im palce, kłując szpilkami i wyjmując oczy. Stróże sprawiedliwości zjechali już na miejsce zbrodni, ale niejedne jeszcze oczy wyżre rosa ciemnoty, zanim słońce cywilizacyi rozświeci te niezgłębione otchłanie nędzy moralnej.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 21 lutego.

Koziołki senatu francuskiego i nowy gabinet. — Mowa tronowa angielska i sprawy egipskie. — Zaburzenia w Trypolisie. — Zatarg Rumunii z konferencyą dunajową.—Związanie z Watykanem układów niemieckich.

Senat francuski wywraca koziołki. Po uznaniu, jakie zjednał sobie przyjęciem projektu ustawy o środkach przeciw pretendentom wedle wniosku Waddingtona, obecnie wywołał ogólne niezadowolenie, odrzucając 142 głosami przeciw 157 zatwierdzony przez sejm wniosek Barbeya w tejże sprawie.

Wprawdzie różnica pomiędzy wnioskiem pierwszym i drugim była znaczna. Waddington żądał wyganiania wichrzycieli jedynie na mocy wyroku sądu lub senatu; Barbey dozwalał stosować karę władzy administracyjnej przez dekret powzięty na radzie ministrów. Senat nie chciał dopuścić powrotu samowoli ministeryalnej z czasów cesarstwa; w rezultacie jednak marną większością 5 głosów wytrącił rządowi rzeczypospolitej broń dla energicznej obrony przeciw knowaniom i spiskom.

Wobec starcia tego we Francyi pomiędzy senatem i sejmem, wobec długotrwałego przesilenia ministeryalnego, wobec złych skutków, jakie zamęt wywołuje w stosunkach ekonomicznych, jedynym ratunkiem było szybkie utworzenie nowego gabinetu z energicznym i dzielnym przewodnikiem na czele. To też wiadomość o powierzeniu przez prezydenta Grevego misyi tej Juliuszowi Ferry została przyjęta z radością przez ogół dzienników republikańskich. W rzeczy samej Ferry, ów szczery szermierz postępu i swobód republikańskich, jest obecnie panem sytuacyi politycznej we Francyi. Dla utorowania mu drogi członkowie radykalnej „unii demokratycznej“ postanowili zbliżyć się do grupy gambetystowskiej „unii republikańskiej.“ Ferry zyskał sympatyę jej przywódców i na podstawie sojuszu tych dwóch potężnych grup liczyć może na odpowiednią większość w sejmie.

Tymczasem brytański lew, korzystając z długotrwałego zamętu w stosunkach wewnętrznych Francyi i obezwładnienia jej przez to na zewnątrz, zapuszcza coraz głębiej szpony w ciało pokonanego Egiptu. Mowa tronowa, wygłoszona przy otwarciu obecnej sesyi parlamentu angielskiego, maskuje zręcznie urzędową frazeologią zaborcze zamiary rządu angielskiego nad Nilem. Po rzezi aleksandryjskiej, po zdławieniu stronnictwa ludowego i obrony narodowej w Egipcie, ma być odegrana w Kairze komedya konstytucyjna.

Projekt pseudo-konstytucyi egipskiej, ułożony za dyktandem lorda Dufferina przez Borelli-beya, został już przesłany do Londynu dla zatwierdzenia.

Prawdziwą ironię losu wśród tego wszystkiego przedstawiają motywa premiera egipskiego Szeryfa-paszy do dekretu o zniesieniu dawnej kontroli finansowej angielsko-francuskiej. Wśród zwycięskiego najazdu anglików głosi pompatycznie Szeryf, że niewinna owa kontrola obrażała uczucia narodowe egipcyan. Nie przeszkadza to wcale ministrom kedywa zostawać na żołdzie angielskim, a hardym arabom nadstawiać plecy pod szpicrutę żandarmów importowanych z Londynu.

Po zawładnięciu przez bandlarzy i wojska europejskie Egiptem i Tunisem, zdaje się przychodzić teraz kolej na Tripolis. Świeża napaść wzburzonego tłumu krajowców na tameczny konsulat włoski, zdarcie zeń herbu królewskiego, poturbowanie służby biurowej i groźby konsulowi, wymagają energicznej ręki i zadosyćuczynienia. Rząd włoski długo na nie czekać nie może. Przedwstępem do akcyi w tym kierunku jest wyjazd ambasadora włoskiego z Konstantynopola na urlop do Rzymu. Sposobność to bardzo dogodna dla rządu włoskiego do tygrysiego skoku po przeciwległą zdobycz afrykańską. Porta turecka dla ratowania od zaboru jedynej prowincyi swej w Afryce wysłała niezwłocznie komisarza sułtańskiego dla wyprowadzenia śledztwa i ukarania przywódców zaburzeń.

Konferencya londyńska ostatecznie przedłużyła mandat komisyj dunajowych na lat $5\frac{1}{2}$, wedle projektu Barrera. Uchwałom jej oparła się Rumunia. Za przykładem tym poszła także Bułgarya. Sejmy obu tych państw, zalegających wybrzeża dolnego Dunaju, protestowały przeciwko ograniczaniu ich praw w obradach konferencyi międzynarodowej. Rumunia prócz tego, popierając czynnie swój protest, zamierza znieść wolne porty w Sulinie i Gałaczu. Żądania gabinetu petersburskiego co do odnogi kilijskiej delty dunajowej zostały przez rząd angielski przyjęte w zamian za aprobatę gospodarki jego nadnilowej.

Ostatnie depesze z Berlina donoszą o związaniu układów rządu niemieckiego z Watykanem co do stosunków kościelnych. Wyczerpanie wszystkich sztuczek dyplomatycznych w tym kierunku doprowadziło do pewnego rezultatu.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Śród mazurów pruskich, zgermanizowanych po większej części w Prusiech wschodnich, budzić się zwolna zaczyna poczucie narodowe. Świadczących o tem objawów, prócz innych danych, ktore posiadamy skądinąd, dopatrzeć się można w wychodzącej tamże a gotykiem drukowanej *Gazecie łeckiej*, która, acz dotąd tchnie patryotyzmem pruskim, wiele już postradała z dawniejszego prusofilstwa i niecheci ku polakom. W jednym z ostatnich numerów tej gazetki, której współpracownikami są przeważnie wieśniacy, znaleźliśmy ciekawą korespondencyę, napisaną przez niejakiego Gottfryda Bendzulię, gospodarza z Liwy, „66 lat starego.“

„Już łońskiego roku — pisze on — donosiłem Panu, uskarżając się, żeśmy przed paru laty mieli nauczyciela, który wcale po polsku nie umiał a do tego był otwartym nieprzyjacielem języka polskiego, co z tych dziatek, które do niego do szkoły chodziły, dowieść możemy. A gdy od nas odszedł, dostaliśmy drugiego w jego miejsce, także młodego nauczyciela, a ten umie dobrze po polsku. A jak już stary nauczyciel, tak też i ten młody, choć wprawdzie i po niemiecku uczą, to jednak polskim dziatkom to po polsku wykładają. A nauczyciele tak wykładający godni są tego imienia sławnego, że się nauczycielami ludu nazywają. I gdyby dziatki nasze choćby tylko w religii w macierzyńskim języku nauczane były, tedybyśmy mogli z weselszem i poufalszem sercem spoglądać w przyszłość, boć w tych powiatach przy polskiej granicy, jakoteż i nam w powiecie ostródzkim mieszkającym, tak języka niemieckiego, jako też i polskiego, codziennie, jak chleba powszedniego, potrzeba. A któżby mógł być tak śmiałym i w swej wyniosłości mówić, iż nam w Prusiech języka polskiego już wcale niepotrzeba? i że lepiej go wytępić i raz pochować, aniżeli go jeszcze ożywiać i pielęgnować? jak się to często od nieprzyjaciół polszczyzny staje.

A to jest — kończy korespondent — wyraz prostoty mojej i serdecznej czułości ku współbraci naszej ku polakom i mazurom i (tu znowu ton fałszywy) *dobru naszej pruskiej ojczyzny.*“

Że autorem listu powyższego jest rzeczywiście pomieniony gospodarz Bendzulla, możemy zaręczyć, mieliśmy bowiem sposobność oglądania licznych jego listów, pisanych do najrozmaitszych osób w kraju i zagranicą w sprawie mazurów (*przyp. red.*).

W Bułgaryi „numer II-gi“ ścierają się z sobą, jak wiadomo, dwa stronnictwa. Jedno ciąży ku północnej „oswobodzielce,“ drugie od niej odbiega; jedno radoby coprędzej utonąć w morzu słowiańskiem — drugie względem dążeń tych zachowuje się odpornie i w sentymentach pobratymców widzi tylko interes. Pierwsze z nich, *via* Sofia, wspierane z zagranicy, wzmaga się coraz bardziej na siłach. Od nowego roku zaczęło ono wydawać w Płowdziwie (Filipopolu), stolicy Rumelii, nowe czasopismo p. t. *Sjedinenije*, którego głównym celem jest pracować nad szybkiem zjednoczeniem obu Bulgaryj.

„Któż zdoła — pyta nowy organ — przekonać bulgara, że Rosya, która go oswobodziła od szubienicy, od groźnych mąk i prześladowania, która naród jego podźwignęła z prochu i zabezpieczyła mu poważną polityczną egzystencyę na półwyspie bałkańskim, że owa Rosya nie życzy sobie dobra tego narodu, za którego oswobodzenie poświęciła setki tysięcy swoich dzielnych synów i straciła niezliczone miliony pieniędzy? Gdzie bulgar, któryby uwierzył, że Rosya ta nie będzie nam dalej pomagać, lecz domagając się wpływu na sprawy obu Bulgaryi, ma na celu jedynie swoje własne interesa? Nie, panowie, nie tak łatwo i szybko wykorzenić zdołacie w narodzie naszym uczucia, które przez całe pięć wieków koiły go wiarą w żywot, w swobodę. Nadzieje te spełniły się wreszcie a przeświadczenie narodu o sile wspaniałomyślności Rosyi jeszcze bardziej utwierdziły się w duszy każdego bulgara, niż samo poczucie jednoplemienności. Pięćset lat czekał bulgarski naród na przyjście „Deda Ivana,“ który miał go wyswobodzić. To się stało ostatecznie, a wy po pięciu latach żądacie od narodu, aby zapomniał przeszłości, tradycyi swojej i aby co zrobił? Aby rzucił się może w objęcia Austryi, która, wedle słów Gladstona, żadnemu narodowi nic nie uczyniła dobrego i ani jednemu nie dała swobody?!...

Nowe nieporozumienie. Z okazyi ogłoszenia projektu założenia w Cieszynie *Besedy* czyli Czytelni czeskiej, która ma się stać zbornym punktem wszystkich czechów, w Bogumińskiem i Frydeckiem zamieszkałych, odezwała się *Gwiazdka cieszyńska* w tonie nadzwyczaj dla tamtejszej inteligencyi czeskiej nieprzychylnym i na zachowanie się jej wobec polaków niekorzystne światło rzucającym. Ile jest słuszności w zarzutach *Gwiazdki*, dowiemy się później, boć przecież, sądzimy, nie pozostaną czesi dłużnymi odpowiedzi.

„Nie mielibyśmy powodu — powiada Gwiazdka — przeciw projektowi czechów oświadczać się z niechęcią naszą, gdyby pobratymcy nasi chcieli sobie w tej Besedzie stworzyć tylko ognisko towarzyskie celem podtrzymywania ducha narodowego w kolonii swej, między obcych rzuconej... Niestety, tak nie jest... Czesi tutejsi chcą w Besedzie skupić się, aby z niej, jako punktu oparcia, rozwinąć czynności, dążące do uzyskania wpływu dla czeszczyzny w całym naszym kraju, do oddziaływania na sprawy księstwa cieszyńskiego w duchu czeskim. Chcą oni zorganizować się, aby w imieniu kraju naszego występować jako w imieniu kraju —czeskiego. Mamy do tego niejedne wskazówki i niejedne dowody.

Nowsze pokolenie czeskie, do nas z Czech przybywające, — bo tutejszego, szląskiego żywiołu czeskiego w Cieszynie niema zgoła — coraz to głośniej odzywa się z takiemi tendencyami. Czescy właściciele kopalń gwałtem pchają w szkoły polskich wiosek język czeski, jako wykładowy, tak, że się nawet niemiecki i zapewne niepałający miłością ku nam inspektor szkolny musiał wdać w tę sprawę. Tutejsi urzędnicy czesi też często okazują się niechętnymi dla naszej narodowości i przeszkadzają ludowi w korzystaniu z równouprawnienia, wołąc, aby pozostał wszechwładnym język niemiecki, jeżeli nie może być czeski: tak samo postępują notaryusze. W rozmowach wreszcie prywatnych, gdy się skarżymy, że język czeski został niepotrzebnie równouprawniony i w polskich powiatach, a więc w całym kraju, polski zaś w powiatach tylko polskich, czesi nasi oświadczają wyraźnie, iż to jest słusznie, więcej jak słusznie, i że to jest wielkiem ze strony czechów ustępstwem, iż wogóle zezwolili na równouprawnienie języka polskiego z czeskim, gdyż tu tylko czeszczyzna powinna mieć prawo itd. itd.“

Odpowiedź czechów. W ostatniej chwili otrzymaliśmy następujące sprostowanie:

„Na art. *Gwiazdki ciesz* p. t. „Do braci czechów w Cieszynie,“ w którym niewiadomy autor występuje przeciwko tworzącemu się towarzystwu czeskiemu, uważa się podpisany wydział zmuszonym oświadczyć, że owe towarzystwo (*Literarni zabawni klub Snaha* a nie żadna *Beseda*) ma być organem dla pielęgnowania i wspierania wiedzy i literatury czeskiej pomiędzy ziomkami, tutaj zamieszkałymi. ma być więc ogniskiem tylko życia literacko-naukowego i towarzyskiego w duchu narodowo-czeskim, bynajmniej zaś towarzystwo nasze niema na celu dążeń politycznych a tem mniej tendencyj zaborczych i nie zajmuje stanowiska względem *Czytelni ludowej* (polskiej) albo wogóle polskiej narodowości nieprzyjaznego. Przeciwnie nawet, jest bowiem postanowionem z Czytelnią braterskie stosunki utrzymywać i dążyć do połączenia się z nią. Jeden zaś z ustępów statutu opiewa, że na wypadek rozwiązania towarzystwa połowa jego majątku ma przypaść Towarzystwu nauk. pomocy dla księstwa cieszyńskiego.

Na dalsze zarzuty i stanowisko przez autora zajęte wydział towarzystwa, niebędącego politycznem, nie widzi powodu odpowiadać, lecz zostawia sąd rozsądnej publiczności. Jednakowoż gorzko musimy ubolewać, że towarzystwo nasze, jeszcze w zarodku będące, stało się już przedmiotem tak bezzasadnej krytyki, dla obu stron szkodliwej. — Tymczasowy wydział towarzystwa *Literarni zabawni klub Snaho.*“

Kółka włościańskie.

Od chwili uwłaszczenia, kiedy ziemia przedstawia znakomitą liczbę posiadaczów mniejszych, wśród których stara rutyna gospodarki ze szkodą dalej się prowadzi, a brak szkół rolniczych jest główną przeszkodą do nabycia potrzebnej nauki, obowiązkiem jest naszym a nawet koniecznością dla wspólnego dobra zająć się ludem wiejskim, ułatwić mu poznanie wiadomości pożytecznych, by polepszyć byt jego materyalny i moralny, a oświecając umysł, zachęcić do pracy. Pod tym względem sądzę, iż najwłaściwszą rzeczą byłoby zakładanie *kółek włościańskich*, na podobieństwo tych, jakie już istnieją na ziemiach dawnej Polski, w Poznańskiem i Galicyi.

Nie lękajmy się trudności: mamy już o niezamkniętej liczbie członków spółki spożywcze. kas zjednoczenia, kas zaliczkowo-pożyczkowych, przemysłowców, rzemieślników, stolarzy, krawców i inne; przystąpmy teraz do zawiązywania spółek wiejskich, czyli kółek włościańskich. Nie potrzeba macać i szukać, system już gotów, wypróbowany w innych dzielnicach; my go tylko zaprowadźmy u siebie i gorliwie popierajmy, korzystając z doświadczenia ziomków. Program kółek włościańskich nader prosty, przystępny, a dla wszystkich zrozumiały: nauczyć się lepszej uprawy ziemi, pomnożyć jej płodność i dobrobyt, wskazać drogę do oszczędności oraz uwolnienia się z rąk lichwiarzów i zastawników, a głównie podnieść oświatę ludu; dobywając bowiem nowe siły, wzmacniamy cały organizm narodowy.

Dla szczegółowszego przedstawienia rzeczy, podajemy tu najważniejsze zasady ustawy poznańskiej.

§ 2. Zadaniem kółek jest pouczać członków na zebraniach we wszystkich działach gospodarstwa wiejskiego, która to nauka, ażeby nieprzywykłe do niej umysły zająć i uwagę ich przez dłuższy czas do przedmiotu przywiązać mogła, ma być w sposób jasny, zrozumiały udzielaną i podnosić się stopniowo. Początkowo wystarczy, jeżeli na posiedzeniach przypomną się członkom prace gospodarcze w porze zebrania przypadające, i poda odpowiednie wskazówki do ich łatwiejszego i doskonalszego wykonania służące.

§ 3. Dalej zadaniem kółek jest obeznawać członków z ulepszonemi a wypróbowanemi narzędziami rolniczemi i dawać praktyczne wskazówki co do zastosowania ich w wykonywaniu.

§ 4. W zakres tegoż zadania wchodzi wyjaśnienie kwestyi ekonomicznych a mianowicie dwóch najgłówniejszych, *pracy i oszczędności*, potem poznajamianie członków ze stosunkami handlowymi a mianowicie sprzedażą zboża podług wagi, czy to na kontrakt, czy też na targu, dalej z kwestyami kredytowemi i prawniczo hypotecznemi o tyle, o ile znać je leży w interesie gospodarza.

§ 5. Pożądanem jest zwracanie uwagi członków na drobne źródła dochodu, jako to: z nabiału, ogrodowizn, maku itp.

§ 6. Dla nabycia dobrych wzorów i praktycznych poglądów, mają kółka zwiedzać dobrze urządzone gospodarstwa posiadaczów większych.

§ 7. W celu wypośrodkowania (?) o ile członkowie korzystają z udzielanych na zebraniach nauk i starają się je w swych gospodarstwach zastosować, mają od czasu do czasu zwiedzać wybrane z grona kółka komisye gospodarstwa członków, oraz mają być urządzane wystawy inwentarzy, płodów, narzędzi rolniczych, jakoteż próby orki.

§ 8. Kółka rolnicze mają nietylko oświecać członków nauką, ale i w każdym razie wspierać ich zdrową radą, czy to w urządzaniu gospodarstwa, zaprowadzaniu płodozmianu, w zabezpieczaniu od ognia i gradu, pozyskaniu kredytu, czy też wreszcie w regulowaniu stosunków majątkowych.

§ 10. Skrzynka w miejscu posiedzeń do składania pytań poleca się, jako odpowiedni środek do zaspokojenia życzeń członków, nieusposobionych do wysłowienia się ustnie.

§ 11. W zakres programu wreszcie wchodzi: pośredniczenie w zakupnie dla członków szelkich nasion i narzędzi gospodarczych, nawozów sztucznych, węgli, soli, żelaza, wszelkich zgoła przedmiotów dla gospodarza przydatnych.

§ 12. Lubo z natury rzeczy wynika, że na zebraniu kółka rolniczego tylko gospodarstwo wiejskie i zbliżone doń sprawy rozbierane być mogą, to jednakże, dla tem wybitniejszego uwydatnienia celu, orzeka się wyraźnie, że sprawy kościelne i polityczne stoją po za obrębem kółka i takowe na zebrania wprowadzać nie jest dozwolonem.

Nasze gospodarstwo rolne nawet w większych majątkach wielce jeszcze kuleje i czeka reformy, mianowicie usunięcia służebności i wprowadzenia lepszego ładu, a cóż dopiero powiedzieć o gruntach posiadaczów jednej włóki lub kilku morgów! Zajrzyjmy do tych drobnych gospodarstw, a na wstępie znajdziemy nieład w podwórzu, upadek w inwentarzu, w całym domu rozstrój. W kraju naszym prawie połowę ziemi posiadają włościanie, a któż im przyświeca w tak ważnem dla nas gospodarstwie rolnem? To też ziemia z każdym rokiem jałowieje coraz bardziej, a nieurodzaj występuje często.

Instytucya kółek włościańskich przy zachowaniu ich samodzielności i samorządu, czynności swe prowadzić winna jawnie, zostawać pod kontrolą ogółu i ogłaszać roczniki działań, by współubieganiem rozbudzać siły, dodawać zachęty do wytrwałości i klasę rolniczą poznajamiać z zadaniem.

Jak wszędzie, tak i tutaj główne przewodnictwo należy do inteligencyi rolniczej, administracya do włościan i oni nią wyłącznie zajmować się winni, bo to sprawa ich własna.

Rozwińmy zatem działalność naszą na tych nowinach, które dotąd w odłogu lichy owoc wydawały, podejmijmy pracę około tego nowego pola, na którem duchowo i materyalnie wiele zrobić można, wspierajmy je uczciwą chęcią i szczerą ufnością, a damy dowód obywatelskiej posługi, wywiązując się z wiekowego długu: wdzięczna to rola, a jeszcze wdzięczniejsze ziarno w sercu tego ludu złożymy dla siebie, kiedy zasiew wschodzić zacznie, pokaże wartość przybyłego dorobku i lepsza dlań dola zabłyśnie.

Inicyatywę zakładania kółek włościańskich w Poznańskiem wzięło na siebie centralne Towarzystwo rolnicze. Ono to na zasadzie ustawy z d. 11 marca 1850 r. obrało pierwszego patrona i dało mu pełnomocnictwo nieograniczone, dla zachowania jednolitości i łączności stowarzyszeń.

Zarząd składa się z prezesa, wice-prezesa, sekretarza, skarbnika i trzech radnych lub więcej; reszta stanowi członków czynnych i honorowych, którzy wnoszą składkę według swej możności i woli.

U nas sprawą tą zająć się winno Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, a wyjednawszy zezwolenie władzy, skorzystać energicznie z przykładu innych dzielnic polskich.

Aleksander Bossakiewicz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Jubileusz. Rosya obchodziła uroczyście stuletnią pamiątkę urodzin swego poety Żukowskiego.

Sądy. W Petersburgu wielkie wrażenie wywarła sprawa niejakiej Ostrowlewoj, która wyszedłszy z pensyonatu, trudniła się dorożkarstwem, ubierała po męsku, piła w szynkach i wraz ze swym parobkiem napadła i ograbiła innego dorożkarza. Przysięgli uniewinnili ją.

Bibliografia polska. E. Broniewski *Tablice graficzne do dziejów Europy*, Warszawa.

— J. J. Baranowski *Anglo-polnish Lexicon*, Warszawa, Lesman i Świszczowski.

— L. Sowiński *Petro*, Lwów, Księgarnia Polska.

Bibliografia niemiecka. Ze zbioru *Illustrirte Geschichte der fremden Literaturen* Leixnera ukazał się tom drugi: *Die Literatur der Spanier, Portugiesen, Rumäner, Engländer, Nordamerikaner, Skandinavier, „Niederländer, Slaven, Ungarn und Neugriechen*. Lipsk i Berlin, 1883, 491 str. w 8-ce w. z 115 drzeworytami i 6 dużymi rysunkami — 7 marek. Piśmiennictwo polskie mieści się na 22 stronicach! Wątpimy, aby książki tego rodzaju, podobne kwintesencyonalnością do Malzextraktu albo bulionu Kleczkowskiego, mogły kogokolwiek czegokolwiek nauczyć.

— Kürschner *Deutscher Litteratur Kalender* (1883), rok piąty, Berlin i Sztuttgart, str. 482 w 16-ce, cena w oprawie 5 marek. Zawiera: prawa, dotyczące własności literackiej w Niemczech i Austryi; wyroki prawne w sprawach tego rodzaju; opis i statystykę stowarzyszeń literackich niemieckich; adresy literatów, agentur i dzienników niemieckich, z krótkiemi notatkami biograficznemi.

— Rümelin *Reden und Aufsätze*, dwa tomy, pierwszy 1875, Freiburg, 454 str. w 8-ce m., 6 marek, drugi 1881, tamże, 624 str. w 8-ce m., 8 marek. Autor, kanclerz wszechnicy tybingeńskiej, znany jako filozof, statystyk i statysta, zamieścił w 2 tomie kilkanaście mów i rozprawek, pomiędzy innemi: o stosunku ukształcenia moralnego do umysłowego, gdzie stanowczo się oświadcza za aksyomatem, że inteligencya tylko podnieść może moralność, nazywając błyskotliwym paradoksem twierdzenie Rousseau'a, że sztuki i nauki psuły obyczaje. Znakomity marzyciel francuski (powiada) chciał początkowo odwrotne wyrazić zdanie; ale jakiś przyjaciel doradził mu takie, jako sensacyjne i mające pewne pozory za sobą. Inne artykuły: o podziale pracy naukowej; o prawach historyi; natura nałogu; idea sprawiedliwości itd.

— Perrot i Chipicz *Geschichte der Kunst im Alterthum*, zeszyt 1 do 7, Egipt, przerobił z francuskiego Pietschmann, Lipsk, 1882, str. 312 w 8-ce w., 600 rysunków i kilkanaście tablic, cena 10 i pół marek. Rzecz znakomita! Będzie ogółem około 20 zeszytów, po 1 i pół m. każdy. W przerobieniu niemieckiem dzieło francuskie wiele zyskuje.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. *A. Sz.* Niestety — niema. Numer został natychmiast ponownie wysłany.

P. *Pr.* nie mogło być.

Studentowi medycyny. Pytanie zbyt ogólne — zresztą gotowi jesteśmy do udzielenia Panu rady ustnej.

Uczniowi. Nawet jednego wyrazu ze słusznego zażalenia Pańskiego uwzględnić nie możemy.

Wileńskiemu prenumeratorowi. Względnie najlepsza Orgelbranda. O żadnej „postępowej" nie wiemy. Co do pism zagranicznych — nie.

P. *M. G.* Uwaga zupełnie słuszna, że nie był to zjazd *górników*, ale *przemysłowców górniczych*.

Pani A. Sok. w Petersburgu. Prenumeratę otrzymaliśmy 8 lutego, numery wysłano przy najbliższej ekspedycyi. Abonenci kwartalni dodatek otrzymują.

P. *J. J.* Wysyłka *Ogniska* dla Pana musiała się opóźnić z powodu oprawy. Przed kilku dniami wyekspedyowano.

Pani M. Sz. w Białocerkwi. *Ognisko* wyczerpane. Jaką encyklopedyę?

Miłośnikowi Prawdy. Ze starszych: Hollbacha *Système social ou principes naturels de la morale*; z nowszych: Schopenhauera *Die beiden Grundprobleme der Ethic*; Milla *Utilitarianism*; Spencera *The data of Ethics* (przełożono na język francuski). Niedawno Carneri opracował *Die Ethic auf darwinistischer Grundlage* (Wiedeń, 1881).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Февраля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.